



**Rhonda Nelson**



*Oczarowanie*

**Special - "Potęga magii"**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- Nadal nie ma szans?

Próbując nie patrzeć na obojętny wyraz twarzy ojca i nadzieję w oczach matki, Benedict DeWin zacisnął palce na piórze marki Montblanc i potrząsnął głową. Nadal miał tę samą odpowiedź na powtarzane od dwudziestu lat pytanie.

- Czy amulet, który ci pokazałem, ma jakąś magiczną moc, Ben?

Nie, nie i jeszcze raz nie, pomyślał Benedict i westchnął ciężko.

Mimo że stale dawał przeczącą odpowiedź, Isaac i Gloria DeWin nigdy nie przestali pytać. Nadal wierzyli, że kiedyś magiczne siły dadzą o sobie znać.

Benedict skrzywił się. W przeciwieństwie do niego, rodzice - rodzina królewska w świecie czarodziejów - nie mogli zaakceptować, że z ich wspaniałych genów powstało dziecko, które nie ma najmniejszych magicznych mocy. Było to tym trudniejsze, że był ich jedynym synem. Najwyraźniej wszystkie geny magii odziedziczyła jego siostra.

- Mama rzuciła zaklęcie S - ostrzegła go Vivi przy śniadaniu, beztrąsko przeglądając poranną prasę.

Choć siostra przyczyniała się do atmosfery napięcia wokół niego, bardzo ją kochał. Była jego najlepszym przyjacielem.

W chwili, gdy wypowiedziała ostrzeżenie, Benedict spojrział na poważne miny rodziców i zaczął mieć wątpliwości. Z jednej strony drwił z tych gróźb, lecz poczuł nagle ucisk w żołądku.

S jak Sedona, pomyślał.

Rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok zatrzymał się na ścianie z portretami, na których uwiecznieni byli jego najpotężniejsi przodkowie. Najważniejszy z nich - Merlin - zdawał się mu także przyglądać. Relikty dziedzictwa rodzinnego sprzed wieków, symbolizujące honor i szacunek, wypełniały pomieszczenie tajemniczą

aurą. Zadziwiające było to, że zawsze czuł onieśmienie, gdy przechodził przez ten pokój.

Choć zrządem losu żył w królestwie elitarnej i najbardziej legendarnej społeczności czarodziejów, nigdy nie czuł się do niej przynależny. Nigdy, z wyjątkiem chwil, kiedy był w tym pokoju.

Ale Sedona? Wiedział, że stopa żadnego z DeWinów nigdy tam nie stanęła. Było to miejsce zesłania dla czarownic i czarodziejów, którzy albo stracili moc, albo nigdy nie odkryli jej w sobie. Wiedział, że jego zacni przodkowie przewróciliby się w grobie, gdyby dowiedzieli się, że Benedict musiał tam pojechać.

Zarazem to urocze miasteczko z pięknymi formacjami skalnymi i potężnymi miejscami mocy było rajem dla rozczarowanych swoją niemocą czarodziejów, ale także dla zwykłych śmiertelników, przyciąganych przez emanującą z tego miasta energię.

Znajdowało się tu Archiwum Ameryki Północnej, budynek, w którym zgromadzono zakurzone pergaminy i zwoje, ukazujące drzewa genealogiczne wszystkich rodzin czarodziejów z ostatnich dziesięciu wieków wraz z opisem ich mocy i używanych czarów. Był to wielki skarb i prawdziwa historia magii. Dodatkowo w kompleksie znajdował się Ośrodek Zdrowia dla Magów, gdzie leczono niedomagające czarownice i czarodziejów.

W świecie Benedicta mówiono, że jeśli rodzice wyślą go do Sedony, staną się pośmiewiskiem. To go uspokajało. Nie miał zamiaru tam jechać.

Wszystko, tylko nie Sedona, pomyślał. Przecież rodzice nie są aż tak zdesperowani.

- Ciągle nic - odezwał się ojciec, spoglądając na matkę. - To prawdziwe nieszczęście.

Skinał głową, ale nic nie odpowiedział. Doświadczenie mówiło mu, że im mniej się będzie odzywał, tym lepiej. Ojciec wkrótce wygłosi monolog, jak co miesiąc na tych rodzinnych spotkaniach, których Benedict szczerze nie cierpiał.

Wolał rozmowy o imponującym rodzinnym biznesie DeWin Diversified Industries, który przejął jakiś czas temu, a pod jego rządami firma podwoiła i tak niemałe dochody. Był z tych osiągnięć naprawdę dumny. Wiedział, że ojciec z niego także. Dzięki temu łatwiej znosił miesięczne raporty z postępów w zakresie magii.

- Do ślubu zostały już tylko dwa miesiące - zauważyła matka.

Jej głos był łagodny jak zawsze.

Nie musisz mi przypominać, pomyślał Benedict, zaciskając zęby. Irytowało go, że w dwudziestym pierwszym wieku zmusza się go do poślubienia kobiety, która została mu wybrana, zanim przyszła na świat. To się nie mieści w głowie, myślał. Jest przecież 2007 rok.

Mimo że dla jego społeczności nie było w tym nic dziwnego, Benedictowi trudno się było z tym pogodzić. Wiele rodzin czarodziejów kultywowało stary obyczaj swatania dzieci w celu zachowania i wzmacniania magicznych mocy przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Jego rodzice zaaranżowali ślub z Portią Flynn, zanim którekolwiek z dzieci przyszło na świat. Pierworodny syn DeWinów z pierwszą córką Flynnów.

Vivi, ty szczęściaro, złościł się w myślach. Urodziłaś się druga, więc jesteś bezpieczna.

Z drugiej strony wiedział, że jest dla swoich rodziców wielkim rozczarowaniem, nie chciał więc przysparzać im więcej zmartwień. Miał dwadzieścia osiem lat i jeszcze nigdy nie był zakochany, chociaż pożądaną doświadczył, i owszem. Sądził więc, że nic go w życiu nie ominęło. Wiedział, że to małżeństwo było tylko i wyłącznie transakcją biznesową. Szczęśliwie na interesach znał się naprawdę dobrze. Osiągnął mistrzostwo w zarządzaniu firmą. Stało się to jego pasją, a zarazem dzięki temu odzyskał szacunek i zdrowie psychiczne.

Zgodnie z obowiązującą tradycją, poznał Portię na balu czarodziejów w zeszłym sezonie. To prawda, była ładna, odniósł jednak wrażenie, że bije od niej

chłód. Uśmiechała się w sztuczny, wyuczony sposób i unikała patrzenia prosto w oczy.

Vivi znienawidziła ją od pierwszej chwili.

- Będiesz skończonym idiotą, jeśli pozwolisz im, żeby zmusili cię do tego małżeństwa. Przecież ona jest pozbawionym emocji kawałkiem lodu! - krzyczała, znów dając mu do zrozumienia, że według niej zachowuje się jak męczennik.

Benedict nie był męczennikiem. Pochodził z DeWinów i musiał zrobić to, czego od niego oczekiwano. Przynajmniej tyle mógł uczynić dla swojej rodziny, zważywszy na fakt, że dramatycznie zawiódł na polu magii.

- Nie o ślub powinniśmy się martwić - powiedział Isaac ponuro. - Pomyślmy o Rytuale Konfirmacji.

Bez wątplenia z tym będzie kłopot, pomyślał Benedict.

Rytuał wymagał od przyszłych małżonków przejścia serii testów ukazujących ich talent magiczny. Rzucanie uroków, znajomość zaklęć, tworzenie eliksirów to tylko kilka zadań, które stały przed narzeczonymi. Celem było ostateczne przekonanie obu rodzin, że para została skojarzona właściwie.

Niestety, tym razem Vivi nie będzie mogła mu pomóc. Jakże często, ukryta w cieniu, wykonywała za niego wszystkie czary. Teraz jednak musi poradzić sobie sam i sobie nie poradzi, rzecz jasna.

Uczyły go całe zastępy doświadczonych magów, ale żaden z nich nie osiągnął sukcesu, co niezmiernie martwiło jego rodziców.

Benedict poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Tajemnica, tak pilnie strzeżona przez całą rodzinę, miała zostać publicznie ujawniona. Stanie się pośmiewiskiem i tematem plotek, a DeWinowie stracą uznanie i honor.

Ta myśl sprawiła, że poczuł się tak, jakby ktoś wytrącił mu broń z ręki. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Poczuł ciężar na ramionach, dłonie zaczęły mu się pocić, a twarz płonąć rumieńcem.

- Skoro już skończyliśmy nasze spotkanie, mam pilne sprawy, którymi muszę się zająć. - Chciał jak najszybciej znaleźć się z dala od rodziców i tematu swoich magicznych umiejętności. - Interesy...

- Jeszcze nie skończyliśmy - przerwał mu ojciec.

- Nie? - udawał zdziwienie.

Matka uśmiechnęła się ze smutkiem, co sprawiło, że Benedict poczuł się jeszcze gorzej.

- Nie, nie skończyliśmy, mój drogi - powiedziała.

Isaac odchrząknął.

- W świetle zbliżającego się Rytuału Konfirmacji oraz twojego braku zdolności... - Odwrócił wzrok, a na jego policzkach pojawił się rumieniec. - Cóż, uznaliśmy, że krótki wyjazd do Sedony jest dla ciebie jedynym wyjściem. To nie jest prośba. - Powiedział to w taki sposób, jakby ogłaszał, że wysyła syna na letni obóz.

Benedict myślał o tym, że jadąc do Sedony, straci całkowicie wiarygodność w oczach społeczności czarodziejów. To mogło mieć wpływ także na jego interesy. Lata ciężkiej pracy i budowania reputacji byłyby stracone. Nie uratowałyby go nawet fakt, że należy do rodu DeWinów. Poczuł, że ogarnia go panika i uczucie wstydu. Nie mógł zaczerpnąć tchu.

- Rozmawiałem z Reginą St. Lyon i uzgodniłem z nią, że zapewni ci całkowitą anonimowość - kontynuował. - Dyskrecja jest tu kluczowa.

Matka spojrzała na niego, a w jej oczach zauważył współczucie. Pochyliła się ku niemu.

- Wiemy, że to dla ciebie trudne, Ben, ale inaczej grozi ci nieuchronna porażka podczas Rytuału Konfirmacji. - Zawahała się. - To twoja jedyna nadzieja, rozumiesz?

Nie, nie rozumiał. Nic dotąd nie pomogło, więc zakładał, że wyjazd do Sedony również tego nie zmieni. A konsekwencje porażki mogły być poważne zarówno dla niego, jak i dla rodziców.

- Vivi pojedzie z tobą - dodał ojciec. - Oczywiście jedynie po to, żeby cię wspierać duchowo. Nalegała, żeby odbyć tę podróż z tobą. Ponadto rzucimy na ciebie Czar Anonimowości, więc nie będziesz przez nikogo rozpoznany. W ramach dodatkowej ochrony będziesz przedstawiał się jako Ben Martin, żeby nic nie łączyło cię z rodziną DeWin. - Odetchnął, milczał przez chwilę.

- Nie prosilibyśmy cię o to, Ben, gdybyśmy nie byli przekonani, że leży to w twoim interesie.

- Oczywiście zawsze możesz odmówić - wtrąciła matka. - Naszym zdaniem jest to niezbędny krok, ale to ty podejmiesz decyzję.

Odmówić? - zastanawiał się. Co mogło mu przyjść dobrego z odmowy, kiedy rodzice tak usilnie go namawiają? To by tylko pogorszyło i tak beznadziejną sytuację. Co więcej, rodzice całe życie wierzyliby, że Sedona mogła działać cuda, a on nie skorzystał z okazji odkrycia swoich prawdziwych mocy zaklętych w genach.

Choć bardzo tego nie chciał, wiedział, że musi się zgodzić. Tylko w ten sposób raz na zawsze potwierdzi, że nie odziedziczył mocy i wreszcie będzie mógł zająć się swoim życiem i swoimi planami.

- Na jak długo? - spytał.

Rodzice wymienili radosne spojrzenia.

- Na tydzień.

Benedict nie mógł ukryć zdziwienia. Tydzień wydawał się niczym w porównaniu z latami, które spędził pod opieką najlepszych nauczycieli.

Czy w tydzień ktokolwiek może się zmienić w mistrza magii? - zastanawiał się.

Pomysł wydał mu się śmieszny, choć wizja tej wyprawy i stawianych przed nim oczekiwań wcale nie wprawiała go w radosny nastrój.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Bryony Flynn, główna ogrodniczka w Archiwum w Sedonie, patrzyła na zaczarowane owoce i warzywa rosnące w jej ogrodzie, mrużąc pod nosem obelgi, od których zwiędnąć powinny wszystkie rośliny w promieniu kilku kilometrów.

- Cholerna zielenina - syknęła przez zęby. - To już ostatni mutant. - Ciachnęła nożycami odporne warzywo i włożyła do koszyka.

Bywały takie momenty, kiedy marzyła, żeby znaleźć się zupełnie w innym miejscu. Na przykład móc płynąć na desce po wzburzonym oceanie. Jednak już dawno straciła nadzieję na to, że kiedykolwiek uda jej się zrobić coś równie ekscytującego. Gdyby chciała gdzieś się przenieść, musiałaby tam dotrzeć jak wszyscy śmiertelnicy. Nigdy nie potrafiła zniknąć i pojawiać się w wybranym miejscu.

A teraz pragnęła znaleźć się w biurze Reginy, mając z sobą dowody winy Richarda Hornby'ego, zwanego też Psem na Baby. Mogłaby spokojnie patrzeć, jak Regina wrzuca go do ognia. I niszczy raz na zawsze.

Wsiadła do melekxa i nacisnęła gaz.

Dupek, pomyślała. Tylko dlatego, że umiał zrobić kilka małych sztuczek, myślał, że jest bogiem. Był zaledwie nauczycielem latania na miotle, na litość boską, stłumiła pełne oburzenia prychnięcie. Można go było z łatwością zastąpić kimś innym.

Mimo że nie umiała unieść się na miotle wyżej niż na pół metra nad ziemię, gdyby została zmuszona, chętnie podjęłaby się szkolenia jego uczniów. Richard, którego uważała za łajdaka stale myślącego o seksie, był dla niej przeszkodą i chętnie wykopałaby go z posady.

Bryony powściągnęła swój gniew, kiedy dotarła przed wejście do głównego biura Archiwum. Wierzby, które zasadziła po obu stronach kamiennych schodów,



kiedy cztery lata temu tu przybyła, rozrosły się bujnie mimo jałowej gleby i suchego klimatu. Piękne kwiaty ozdabiały kamienne ściany, dodając ciepła i kolorów pejzażowi. Dywan z zielonej trawy - jej największa chluba - pokrywał ziemię na całej drodze od posiadłości aż do skalistych brzegów zatoki. Wyhodowanie soczystej trawy na tej ziemi nie było łatwym zadaniem, pozwoliła więc sobie przez chwilę nacieszyć się uczuciem zadowolenia i dumy.

To był jej dom. Była wdzięczna Reginie za to, że ją zatrudniła i pozwoliła tu zamieszkać. Zmarszczyła czoło, wzięła koszyk i wysiadła z melekса. Powrót do rodzinnego domu nie wchodził w grę.

Pierwszy kurs magii Bryony zakończyła oceną negatywną. Uważała to za niesprawiedliwość, ponieważ bardzo się starała i nawet robiła pewne postępy. Rodzice jednak uznali, że powinna znaleźć się najdalej, jak to możliwe. Obawiali się, że jej nikłe umiejętności magiczne będą miały fatalny wpływ na zbliżający się ślub jej starszej siostry z facetem z rodziny DeWinów.

Chociaż było to bardzo bolesne i tęskniła za domem, Sedona i jej mieszkańcy stali się dla niej drugim domem i drugą rodziną. Prawdę mówiąc, czuła się tu bardziej akceptowana i kochana niż w rezydencji Flynnów, bowiem rodzice byli zbyt zajęci swataniem najstarszej córki. Jej ślub miał być ich przepustką do świata arystokracji wśród czarodziejów.

Zawsze czuła się gorsza. Nosila ubrania, z których Portia wyrosła, a które na nią były zbyt ciasne. Rodzice poświęcali jej jedynie strzępki czasu i uwagi. Żałowała, że nie ma z siostrą lepszego kontaktu, ale Portia, podobnie jak rodzice, traktowała ją jak kogoś gorszej kategorii.

Siostra od urodzenia była przygotowywana do roli żony Benedicta DeWina. Bryony pomyślała szczerze, że gdyby to jej pisany był tak wspaniały i przystojny mężczyzna, bez wątpienia nie chciałaby, żeby jakaś młodsza siostra, do tego nieposiadająca magicznych zdolności, zrujnowała jej plany na przyszłość.

Połączenie się z rodem DeWinów było dla jej rodziny szansą na wejście w wielki świat, awansem społecznym równie cennym, jak wygranie głównej nagrody na loterii.

Ponieważ w jej rodzinie panowała niemal obsesja na punkcie Benedicta, Bryony także się nim interesowała. Zanim przeniosła się do Stanów, przekopywała wszystkie plotkarskie gazety i brukowce w poszukiwaniu wszelkich informacji na jego temat. Chciała wiedzieć jak najwięcej o mężczyźnie, który mimowolnie wpływał na jej życie. Tak sobie tłumaczyła czas spędzony na wzdychaniu do jego zdjęć.

Nie mogłam się oprzeć, myślała. Ten facet jest boski. Litości!

Włosy miał czarne jak pióro kruka, wzrok, przy którym nawet obsydian wygląda blado. Rysy ostre, wyraźnie zaznaczone brwi, orli nos i usta tak pięknie wykrojone, że najłżejszy uśmiech powodował u niej dreszcze. Nie można było powiedzieć o nim, że jest tylko seksowny. Miał w sobie magnetyzm, który przyciągał z potężną siłą.

To, co początkowo było zaledwie zwykłą ciekawością, przerodziło się w obsesję, z której wcale nie była dumna. Jej rodzina pragnęła Benedicta z powodu jego majątku i prestiżu. Bryony pragnęła jego samego.

Oczywiście wiedziała, że jej marzenia są nierealne i niedorzeczne, ponieważ, po pierwsze, nigdy go nawet nie spotkała, po drugie, Benedict miał zostać jej szwagrem. Mimo to była nim całkowicie zafascynowana i wyobrażała sobie, że to ona będzie jego żoną. Czowała, że bajka o Kopciuszku jest jej szczególnie bliska.

Zniosła w swoim życiu już wiele upokorzeń. Była powodem zawstydzenia dla całej rodziny, czuła się niekochana, a tak naprawdę niewidzialna. Ale nie chciała budzić współczucia. Nie chciała też być zazdrosna. Niestety, nie potrafiła się powstrzymać.

Za niecałe dwa miesiące jej siostra poślubi mężczyznę, którego pokochała z niewiadomych dla samej siebie powodów. Nigdy go nie spotkała, a przecież czuła, że dobrze go zna.

Potrafiła opisać jego twarz z najmniejszymi szczegółami, wiedziała, że ma dołeczek w lewym policzku, który łagodził ostre, męskie rysy. Wiedziała, na którym zdjęciu uśmiechał się szczerze, a na którym tylko z obowiązku. Znała jego specyficzne poczucie humoru i arystokratyczne podejście do obowiązków rodzinnych. Choć pochodził z zamożnego rodu, a w jego żyłach płynęła błękitna krew, nie wywyższał się. Miał godny podziwu stosunek do pracy, wychwalano jego etykę zawodową.

Bryony czuła także, że jest samotny. Sama doświadczyła tego uczucia tak często, że mogła uznać się za eksperta w tej dziedzinie. Wiedziała więc, jak wiele ich łączy.

Odetchnęła głęboko.

W końcu jakie to ma znaczenie? - pomyślała. W gruncie rzeczy wiedziała o nim tylko tyle, że wkrótce zostanie mężem jej siostry. Pozbawione sensu usychanie z tęsknoty było tylko stratą czasu i energii.

Spojrzała na koszyk. Znajdowały się w nim owoce i warzywa, które zostały zmienione w perwersyjne kształty. Lepiej zrobi, jeśli zajmie się czymś, na co ma choć trochę wpływu.

Na przykład pozbędzie się Richarda. Pchnęła drzwi i ruszyła do biura Reginy.

- Hej, kochanie, po co ten pośpiech? - spytała jak zwykle radośnie panna Marion.

Jej okulary, przypominające kształtem oczy starożytnych kotów, były udekorowane magicznymi gwiazdkami, pasującymi do jej stroju i naszyjnika z pereł. Nikt nie potrafił powiedzieć, od jak dawna panna Marion była nauczycielką magii w Sedonie. Bryony wiedziała jednak, że w świecie czarodziejów emerytura nie przychodzi tak szybko.

Panna Marion pojawiła przed drzwiami Reginy jakby znikąd. I to wrażenie nie było dalekie od prawdy. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Muszę się zobaczyć z Reginą. - Bryony wskazała na koszyk.

- Och, kochanie, chyba nie chcesz powiedzieć, że on znowu to zrobił?  
- A czy myśli pani, że jest tu jakiś inny zboczeniec, który mógłby to zrobić?  
- Oczywiście, masz rację. - Zmarszczyła brwi. - Ale Reginy nie ma - dodała z żalem. - Wygląda na to, że ma jakieś pilne interesy poza Archiwum.

Znowu? - pomyślała Bryony ze smutkiem.

Regina od czasu do czasu musiała wyjechać, żeby coś załatwić. Strażnicy urządzali sobie spotkania, to prawda, ale teraz wyglądało na to, że Regina spędza coraz więcej czasu poza szkołą. Bryony miała nadzieję, że to nic poważnego, chociaż była pewna, że Strażniczka poradzi sobie z każdym problemem.

Niestety, jej wyjazd pokrzyżował jej plany pozbycia się Psa na Baby. Zdławiła przekleństwo.

Panna Marion zdawał się czytać w jej myślach.

- Do trzech razy sztuka, prawda? Tym razem powinna go odprawić, co?  
- Miałam nadzieję, że będę mogła na to patrzeć.  
- Bez obaw, kochanie. Jestem pewna, że Regina zajmie się tym, kiedy wróci.  
- Marion, moje ogórki wyglądają jak penisy! - krzyknęła Bryony, nie mogąc powstrzymać złości. Wyjęła jeden ogórek i zaczęła nim wymachiwać dla wzmocnienia efektu. Pokazała też pozostałe udziwnione plony. - Spójrz tylko na moje gruszki. Mają cycki. Widzisz? Cycki!

- Co za pech. - Rozbawiony męski głos dobiegł tuż zza jej pleców.

Bryony wstrzymała oddech i zacisnęła powieki, pragnąc zapaść się pod ziemię ze wstydu. Panna Marion zachichotała.

- Pan Martin - zaświergotała radośnie. - Widzę, że przyprowadził pan z sobą swoją cudowną siostrę.

- A pani, jak mniemam, jest panną Marion.

Głos miał niski i głęboki, choć Bryony wyczuła w nim północno-wschodni akcent. Z niewyjaśnionych powodów miała wrażenie, że kiedyś już ten głos słyszała.

- Tak, to ja - odparła panna Marion. - Regina uprzedziła mnie, że mam się pana spodziewać. Wszystko już przygotowałam. Zwykle nie pozwalamy parom mieszkać w jednym pokoju, bo romantyczne fluidy rozpraszają naszych uczniów, ale skoro jesteście rodzeństwem, przygotowałam dla was domek z dwiema sypialniami i pięknym widokiem na ogród. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu.

Zaintrygowana Bryony odwróciła się w końcu i poczuła, że brakuje jej tchu. Ciemne, niemal czarne oczy i jeszcze ciemniejsze włosy przykuły jej uwagę. Do tego widok wysokiej, umięśnionej i proporcjonalnie zbudowanej sylwetki prawie zwałił ją z nóg. A uśmiech onieśmielił ją jeszcze bardziej.

Miała wrażenie, że już gdzieś go widziała, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć. Po raz pierwszy zdarzyła jej się tak dziwna sytuacja.

Niewysoka blondynka z różowymi pasemkami, stojąca obok pana Martina, roześmiała się.

- Oczywiście, że nie mamy nic przeciwko mieszkaniu w jednym domu - zapewniła pannę Marion. - Nazywam się Vivi Martin. - Z rozbawieniem spojrzała na zbiory znajdujące się w koszyku Bryony. - Fajne okazy, ale obawiam się, że nigdzie ich nie sprzedasz.

- Jestem Bryony Flynn. - Przesunęła koszyk, żeby uścisnąć dłoń Vivi. - A co do tych okazów, to masz absolutną rację.

Oczy Vivi zmrużyły się tajemniczo.

- Masz piękny akcent.

- Pochodzę z Londynu, ale mieszkam tu już od czterech lat.

- Jesteś nauczycielką?

- Ogrodniczką. Dla wyjaśnienia muszę dodać, że takie owoce i warzywa nie są tutaj normą. To sprawa pewnego dowcipnisia.

- Ale nadal są jadalne? - spytał pan Martin, wyjmując gruszkę z jej koszyka.

Bryony stanowczo by wołała, żeby to jej piersi znalazły się w jego ustach, a nie zmutowana gruszka.

- Tak, smacznego. - Próbowała otrząsnąć się z natrętnych myśli. -

Przepraszam, że się panu przyglądam, ale wygląda pan znajomo.

Spojrzał na nią czarnymi oczami.

- Mam pospolitą urodę.

Nic podobnego, pomyślała. Był równie pospolity jak owoce w jej koszyku, nie miała jednak ochoty się z nim spierać.

- Chodźcie się rozlokować - zarządziła Marion. - Wasz domek jest tuż obok Bryony, więc będziecie mogli dokończyć rozmowę. Możecie też liczyć na jej pomoc, gdybyście czegokolwiek potrzebowali.

Ten pomysł z niewiadomych przyczyn przeraził ją, a przecież pan Martin z pewnością nie zamierzał jej przestraszyć. Był tylko uczniem, jak się mogła domyślać.

Westchnęła. Przez kilka ostatnich lat żyła w celibacie i to pewnie sprawiło, że widok atrakcyjnego mężczyzny zrobił na niej tak duże wrażenie.

- Co za szczęście - powiedział miękko Ben.

Bryony poczuła mrowienie w żołądku. Nie była pewna, czy to faktycznie był szczęśliwy zbieg okoliczności.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- No proszę. - Vivi opadła na wygodne krzesło.

Benedict zbadał zawartość lodówki i uradował się, bo była załadowana jego ulubionym piwem. Wyjął jedno i zatrzasnął drzwi. Nie liczył na zakwaterowanie w pięciogwiazdkowym hotelu, więc cieszył się z tego, co miał.

W celu zapewnienia mu anonimowości miasto zostało objęte Zaklęciem Zapomnienia oraz innymi czarami. Sprawily one, że mijające go osoby od razu zapomniały, że go w ogóle zobaczyły.

- O co ci chodzi? - spytał, podchodząc do okna w nadziei, że zobaczy gdzieś Bryony.

- Wygląda na to, że my nie jesteśmy jedyną rodziną, która ma coś do ukrycia.

To pewnie jej dom, pomyślał. Kwiaty, wino, krzewy i bujna trawa otaczały budynek ze wszystkich stron. Motyle i wróżki przelatywały z kwiatka na kwiatek, a śnieżnobiały jednorożec ze srebrnym ogonem i grzywą biegał po ogrodzie.

Vivi westchnęła.

- Ben, czy ty mnie słuchasz?

- Słucham? - Odwrócił się od okna. Spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

- Flynn! Nie słyszałeś, jak ona się nazywa?

- Hm... Flynn?

- I jest z Londynu!

Ben milczał, wciąż nie rozumiejąc, o co siostrze chodzi. Vivi prychnęła z niedowierzaniem.

- Zupełnie jak twoja przyszła żona, ty ośle! - krzyknęła. - To oczywiste, że są spokrewnione.

- Nie... Co ty?

- To na pewno jej siostra - dodała Vivi. - Są nawet do siebie podobne, chociaż, jeśli mam być szczerą, ta mi się bardziej podoba niż twoja narzeczona. Jest bardziej... naturalna.

I to była prawda. Ta dziewczyna była naturalnie piękna, miała kobiece kształty i była w każdym calu prawdziwa. Co więcej, była niezwykle seksowna. Chociaż Ben nie stronił od zdobywania doświadczeń erotycznych, musiał przyznać, że nigdy nie czuł pożądania w stosunku do swojej przyszłej żony. Jednak kiedy spojrzał w zielone oczy tej dziewczyny, poczuł niepohamowany przypływ adrenaliny i żądy, jakiej nie czuł jeszcze nigdy dotąd.

Jego ciało po prostu wrywało się do niej, udało mu się jednak to ukryć, żartując i sięgając po gruszkę z jej koszyka. Był tą kobietą wyraźnie poruszony i zaintrygowany, co bardzo go niepokoiło.

Zawsze szczyił się swoim instynktem i chłodną powściągliwością. Obie te cechy były bardzo przydatne podczas spotkań biznesowych. Nauczył się słuchać instynktu, ale nie przestawał analizować każdej sytuacji przed podjęciem decyzji. Spotkanie z Bryony Flynn wyzwoliło w nim pierwotne odruchy, które go zaskoczyły. Wiedział, że gdyby w pobliżu nie było jego siostry i panny Marion, zrobiłby wszystko, żeby te potrzeby zaspokoić.

Był przekonany, że nie rozczarowałby Bryony. Czuł, że i ona jest nim zaintrygowana.

Początkowo jej reakcja poddała w wątpliwość działanie Czarz Anonimowości. Później zauważył, że uważnie mu się przyglądała, a wrażenie, które na niej zrobił, spowodowało, że nie mogła złapać tchu. Na koniec przysunęła się do niego tak blisko, jak tylko mogła. Fizyczne przyciąganie między nimi było niezwykle silne. Aż dziwne się wydawało, że świadkowie tej sceny niczego nie spostrzegli. Nawet panna Marion nie zareagowała w żaden sposób.



Czy to możliwe, że ona jest siostrą Portii? - zastanawiał się. To chyba jakiś żart. Los nie może być aż tak okrutny, żeby zgotować mu taką pokusę na dwa miesiące przed ślubem. Vivi cierpliwie czekała na jego reakcję.

- Siostra Portii? - powtórzył sceptycznie. - Nie sądzisz, że to zbyt duży zbieg okoliczności?

- Przecież ona ma siostrę, prawda?

Próbował zebrać myśli. To prawda, Portia miała młodszą siostrę, której nigdy nie miał okazji poznać. Z drugiej strony przypominał sobie, że przecież Portię też widział tylko raz w życiu, więc skąd mógł znać jej rodzinę.

Według tradycji młoda para nie powinna spotykać się przed ślubem, gdyby się bowiem okazało, że się nienawidzą, mogłoby dojść do zerwania zaręczyn, a przy mariażach kojarzonych przez rodziców nikt nie chciał do tego dopuścić.

Małżonkowie nie musieli być z sobą szczęśliwi, chodziło tylko o to, by przekazać najlepsze geny kolejnemu pokoleniu. Seks był więc obowiązkowy, natomiast miłość czy choćby sympatia niekoniecznie.

Benedict uznał, że Vivi mogła mieć rację. Wszystkie fakty zdawały się układać w całość. Ależ miał pecha!

- Tak, to prawda, Portia ma młodszą siostrę. - Opadł na krzesło. - Nigdy jej nie spotkałem, ale wiem, że ma siostrę.

- A nie było jej przypadkiem na balu czarodziejów?

- Nie przypominam sobie. Vivi przewróciła oczami.

- Najwyraźniej ona ciebie widziała. Ciekawe, ilu jeszcze Flynnów nie zostało nam przedstawionych tamtego wieczoru.

Benedict skinął głową z rozbawieniem. Na balu czuł się jak najcenniejszy przedmiot wystawiany na aukcji. Wszyscy się mu przyglądali. Bliscy i dalecy krewni Flynnów przyszli zobaczyć przyszłego członka rodziny. Vivi miała rację. Jeśli Bryony była spokrewniona z Portią, musiała być na tym spotkaniu, chyba że Flynnowie mieli coś do ukrycia.

- Sprawdzę to - zaproponowała Vivi.
- A jak zamierzasz to zrobić?
- Zostaw to mnie. Ty musisz się skoncentrować na przebudzeniu.

Benedict mruknął coś pod nosem i otworzył piwo.

- Wiesz, że to strata czasu - powiedział po chwili.

- Nie, nie wiem. I ty też musisz uwierzyć, że ci się uda. Tu jest naprawdę silna energia. Nie czujesz tego?

- Tak, Vivi, czuję, i to od chwili, gdy wysiadłem z samolotu. To jednak jeszcze nie oznacza, że cokolwiek się wydarzy.

- Proszę, chociaż spróbuj.

- Po to tu jestem - odparł bez specjalnej wiary.

Obudzenie w sobie magicznych mocy było dla niego czymś bardzo ważnym. Tak ważnym, że aż bał się o tym myśleć, żeby nie rozbudzać płonnych nadziei.

Niełatwo żyło mu się z przekonaniem, że jest dla rodziny powodem do wstydu. Oczywiście próbował na wszystkie sposoby zdobyć magiczne umiejętności, jednak żadna metoda nie przynosiła efektu. Wiedział, że mimo tej skazy część osób w rodzinie naprawdę go kocha, jednak nie czuł do końca przynależności do społeczności czarodziejów.

Z drugiej strony wiedział, że jedyną metodą na wyplątanie się ze zbliżającego się ślubu było niepowodzenie w nauce magii. Nawet Flynnowie, mimo desperackiej chęci połączenia się z rodziną DeWinów, nie chcieliby, aby ich córka poślubiła kogoś pozbawionego wszelkiej mocy.

Gdyby się nie wycofali, nie miałby innego wyjścia, jak zaakceptować ten układ i ożenić się z Portią. Nie mógłby zawieść swoich rodziców po raz kolejny.

- Jest całkiem ładna, nie sądzisz?

- Kto? - spytał, choć wiedział, kogo siostra miała na myśli.

Vivi uśmiechnęła się przekornie.

- Nie pogrywaj tak ze mną. Widziałam, jak na nią patrzyłeś.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Patrzyłeś na nią tak samo, jak patrzyłeś na jej gruszkę - rzekła ze śmiechem.
- Jakbyś chciał ją zjeść.
- Chyba musisz iść do okulisty - burknął i sięgnął po kolejne piwo.
- A ty musisz kontrolować swojego ptaszka.
- Rany! Chyba postradałaś... - krzyknął z oburzeniem.
- Ona jest twoją przyszłą szwagierką, Ben - przerwała mu Vivi.
- Nie wiesz tego na pewno.
- Ale mam silne przeczucie, że tak jest, a zwykle się nie mylę w takich sprawach.
- Tak, jasne - zadrwił, choć Vivi naprawdę rzadko się myliła.
- Oczywiście możesz się zabawić, zanim poślubisz swoją Królową Śniegu. Jednak zabawianie się z jej siostrą to już całkiem inna bajka.
- Jesteś bezczelna.
- Po prostu szczerza. - Spojrzała mu w oczy.
- Zwykle bardzo lubisz we mnie tę cechę. Złości cię to tylko wtedy, kiedy moje spostrzeżenia są trafne i dotyczą czegoś, do czego nie chcesz się przyznać.
- Tym razem jest zupełnie inaczej - skłamał, mając nadzieję, że siostra tego nie wyczuje.
- Oczywiście romans z jej siostrą byłby dobrą wymówką, żeby nie żenić się z Portią.
- Vivi, ostrzegam cię!  
Tylko wzruszyła ramionami.
- Cóż, jej pomysł był bardzo kuszący. Benedict wiedział, że Vivi miała rację i czytała w jego myślach jak w otwartej księdze.
- Jednak czy potrafiłby być takim draniem, żeby posłużyć się Bryony do zerwania zaręczyn z Portią?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Vivi przerwała rozmowę z bratem, ale nie oznaczało to wcale, że przestała drażnić temat. Prawdę mówiąc, sama nalegała na to, żeby z nim wyjechać. Chciała mieć kontrolę nad sytuacją. Rodzice żyli w przekonaniu, że ślub z Portią wyjdzie ich synowi na dobre, ale Vivi była odmiennego zdania.

Benedict nigdy nie był zakochany. Vivi zaplanowała stworzenie eliksiru, dzięki któremu brat mógłby wejść w ten magiczny stan. Wiedziała, że jej za to kiedyś podziękuje. Być może było to nie w porządku wobec kobiety, w której się zakocha, ale uznała, że w tym przypadku cel uświęca środki. Jej starszy brat zasługiwał na więcej niż poślubienie pozbawionej emocji lodowej damy, której jedynym celem było podniesienie swojego statusu społecznego. Musiał doświadczyć prawdziwych uczuć i emocji, czego nigdy nie zazna, jeśli zwiąże się z Portią.

Lecz nagle zainteresowanie Bryony Flynn wszystko zmieniło. Vivi z ulgą stwierdziła, że żaden eliksir nie będzie już potrzebny. Jedyne, co musiała zrobić, to sprawić, aby tych dwoje spędzało z sobą jak najwięcej czasu. Vivi miała przeczucie, że panna Marion jej w tym pomoże. Widać było, że ma romantyczną naturę i darzy piękną ogrodniczkę bardzo ciepłymi uczuciami.

Mimo że dopiero poznała Bryony, od razu ją polubiła. Mądrość i poczucie humoru były z jej pięknych, zielonych oczu, a empatia i dobroć wypisane były w jej rysach. Przy tym złość, którą zademonstrowała tego ranka, ukazała, że ma siłę, z którą trzeba było się liczyć.

Vivi miała więc cel do zrealizowania. Musiała sprawić, aby jej brat poślubił Bryony zamiast Portii. Było to zadanie, którego podjęła się z prawdziwą radością. Miała przy tym przeczucie, że Ben i Bryony będą z sobą szczęśliwi. A zwykle przeczucia jej nie myliły.

Co więcej, chociaż Benedict nie wierzył w przebudzenie swoich mocy, Vivi miała swoją teorię na ten temat. Spojrzała na brata, który przeglądał plan zajęć. Od czasu do czasu wzruszał ramionami albo coś pomrukiwał niechętnie, ale przynajmniej wykazywał chęć podjęcia nauki.

Według panny Marion ludzie, którzy nigdy nie zaznali miłości, albo nie dopuszczali do siebie tego uczucia, albo wpadali wciąż w nowe związki. Benedict nie przystawał do tej teorii, ponieważ był kochany przez rodzinę i nigdy miłości nie nadużywał. Nie powiedziałaaby też, że nie wierzył w istnienie miłości. Zwykle nie dopuszczał wprawdzie do siebie emocji, ale Vivi sądziła, że kiedy trafi na właściwą osobę, wówczas uczucie w nim rozkwitnie. Po prostu był nieśmiały i cały czas powtarzał, że nie jest wystarczająco dobry, ponieważ nie ma magicznych zdolności.

Niezależnie od tego, ile razy Vivi próbowała mu powiedzieć, że jest wartościowym człowiekiem, czuła, że brat jej nie wierzy. Ta świadomość łamała jej serce, ponieważ wiedziała, że Benedict jest dobry i wrażliwy.

Gdyby nauczył się chociaż akceptować miłość, może wówczas ujawniłyby się także jego zdolności.

Vivi wiedziała, że drzemią w nim, czasem nawet je czuła, ale Ben ukrywał je głęboko pod skorupą braku wiary we własne siły. Wystarczy, że uwierzy w siebie, a wszystko pójdzie dobrze. Potrzebny był tylko odpowiedni klucz.

Vivi sądziła, że ten klucz był w posiadaniu Bryony.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Przeszła na drugą stronę ogrodu, aby nie patrzeć na domek, w którym zamieszkał Ben Martin. Ku jej rozżaleniu i wściekłości straciła więcej czasu niż zwykle na wykonaniu prostych prac tylko dlatego, że wpatrywała się w domek, licząc na to, że zobaczy Bena choćby przez chwilę.

Niezależnie od tego, jak bardzo starała się tłumić swe uczucia, cały czas nachodziła ją myśl, że skądś go zna. Wiedziała, że jego imię ma na końcu języka. To było ogromnie frustrujące.

Dodatkowo jej reakcja na Bena była zupełnie inna niż jakiegokolwiek wcześniejsze doświadczenia. Wystarczyło jedno spojrzenie i każdy centymetr jej ciała płonął z pożądania. Z trudem powstrzymała pragnienie dotknięcia go, przytulenia się i zaoferowania swych ust do pocałunku. Jej piersi stwardniały, a żądza przetoczyła się przez nią jak tornado. Pragnienie, którego nigdy nie doświadczyła, wyszło na światło dzienne, wypełniło jej myśli i marzenia.

Jednym słowem, była zupełnie rozbita.

Wystarczył jeden jego uśmiech, żeby tak się poczuła. Co by się stało, gdyby mnie dotknął? - myślała, jednocześnie marząc o tym i truchlejąc ze strachu.

Samo dumanie o tym było frustrujące. Ben, jako uczeń, powinien być, zgodnie z zasadami panującymi w Sedonie, całkowicie poza jej zainteresowaniem.

Żaden mężczyzna, nawet tak wspaniały jak Ben Martin, nie był wart ryzyka utraty pracy, pomyślała.

Mogła zresztą stracić nie tylko zatrudnienie, ale także swój dom. Nie wiedziała, czy udałoby jej się znaleźć inną pracę i dach nad głową. Być może było to możliwe, ale Bryony nie chciała nic zmieniać. Kochała to miejsce.

Czy czuła się samotna? Bez ciepła męskiego ciała w swym łóżku i dziecka w swych ramionach... Otrząsnęła się, odganiając nachalne myśli. Na razie te marzenia nie mogły się spełnić.

Bryony wierzyła w przeznaczenie i miała nadzieję, że kiedy przyjdzie właściwy moment, zjawi się odpowiedni dla niej mężczyzna. Do tego czasu miała wspaniałe warunki pracy w Archiwum i nie chciała ich stracić.

Musiała powstrzymać natrętne uczucia i zamiast walczyć z nimi, po prostu unikać Bena Martina jak ognia.

- Ach, tu jesteś - zawołała wesoło panna Marion. - Miałam nadzieję, że cię tu spotkam.

Jako dodatek do wynagrodzenia Regina pozwoliła Bryony uprawiać i sprzedawać do sklepików i restauracji w mieście wszystkie warzywa, owoce i zioła. Miała kilku stałych odbiorców. Była teraz zajęta zbieraniem plonów dla jednej z lepszych klientek. Zamierzała podrzucić jej rośliny po lunchu.

Wyprostowała się i ze zdumieniem spostrzegła, że panna Marion nie była sama. Koło niej stali Ben Martin i jego siostra. Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy napotkała spojrzenie Bena. Znowu zabrakło jej tchu, jak przy pierwszym spotkaniu.

To nie wróży niczego dobrego, pomyślała.

- Cześć - odezwała się, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Chciałam cię prosić o przysługę - zwróciła się do niej panna Marion. - Jakie masz plany na dzisiaj?

- Jaką przysługę?

- Czy mogłabyś zabrać Bena i Vivi do miejsca mocy przy Bell Rock? - spytała. - Profesor Huggins jest bardzo zajęty.

Do Bell Rock? Tak szybko? - zdziwiła się. Ben zaczął kurs dopiero dzisiaj, a Bell Rock i inne miejsca mocy były włączane do programu najwcześniej w drugim

tygodniu nauki. Najwyraźniej jej zdziwienie było dobrze widoczne, bo panna Marion dodała:

- Ben jest na przyspieszonym kursie. Program przygotowała mu Regina. - Uśmiechnęła się, widząc, że zdziwienie nie znika z twarzy Bryony. - Zostaną tutaj tylko przez tydzień. Z tego, co słyszałam, Vivi radzi sobie wspaniale. - Spojrzała na nią z dumą. - Profesor Guerrero był pod wrażeniem dzisiejszej lekcji posługiwania się różdżką.

Vivi odrzuciła do tyłu pukiel różowych włosów i uśmiechnęła się.

- Staralam się - przyznała. Ben szturchnął ją ramieniem.

- Pokaż nam - rzucił siostrze wyzwanie. Marion spojrzała raz jeszcze na swą podopieczną.

- To jak? Zabierzesz ich? Profesor Huggins będzie twoim dłużnikiem.

Bryony nie dbała o jego wdzięczność, czuła natomiast, że jest to bardzo zły pomysł. Taki komunikat unosił się w powietrzu. Niestety była pracownikiem Archiwum, a panna Marion działała na polecenie Reginy, która była jej pracodawcą. Jednym słowem, nie mogła odmówić, niezależnie od tego, jakie obawy w niej to budziło.

Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie wypadło to sztucznie.

- Oczywiście, tylko muszę zatrzymać się w mieście. - Wskazała na koszyk pełen warzyw i owoców. - Siobhan, moja klientka, oczekuje, że dziś jej to przywiozę.

- W porządku - ucieszyła się panna Marion. - Zatem po lunchu?

Bryony skinęła głową, starając się nie patrzeć na Bena. Próbowwała także uspokoić bijące szaleńczo serce. Wiedziała, że Ben jej się przygląda i każda część jej ciała była pod wpływem tego spojrzenia.

- Ja... - Zawahała się. - Podjadę po was o pierwszej - dokończyła, próbując zebrać myśli. Było to niezwykle trudne, gdyż czuła, że jego wzrok płynie po jej ciele, otula biodra, gładzi brzuch, piersi i na koniec usta.



Ben zajął do koszyka i zapytał z uśmiechem:

- Nie masz więcej cynamonowych gruszek?

Bryony poczuła, że czerwieni się po koniuszki uszu.

- Mam, ale odłożyłam je, bo stanowią dowody rzeczowe.

- Dowody? - Uniósł brwi ze zdziwienia.

- Mam tu kolegę żartownisia, ale to było śmieszne za pierwszym razem. Przy piątym stało się denerwujące.

Ben zaśmiał się. Jego niski, męski śmiech brzmiał bardzo seksownie i kusząco.

- Rozumiem twoje zdenerwowanie, ale gruszka była naprawdę dobra. - Znów omiół ją wzrokiem. - Bardzo soczysta.

Miała nieodparte wrażenie, że po prostu ją uwodził. Uchwyciła porozumiewawcze spojrzenia, które wymieniły między sobą Vivi i panna Marion.

Nie była pewna, czy tylko ona zauważyła seksualne podteksty w słowach Bena. Nie miała pojęcia, jak powinna się zachować.

Dlaczego zawsze zakochuję się w niewłaściwych facetach? - przeklinała w duchu swój los. Najpierw Benedict DeWin, narzeczony jej siostry, a teraz Ben Martin, student, z którym nie wolno jej się związać.

Na szczęście przyjechał tylko na tydzień. Wiedziała, że Regina nigdy nie przyspieszała ani nie skracała kursów. Co było tak specjalnego w Benie Martinie, że otrzymał preferencyjne warunki? Odsunęła to pytanie na bok i obiecała sobie, że zapyta pannę Marion o to później. Musiała stać za tym jakaś historia, a ona zamierzała ją poznać.

- Cieszę się, że ci smakowało - odparła w końcu.

- Bryony ma świetną rękę do roślin - wtrąciła panna Marion z dumą. - Szkoda, że nie widzieliście tego miejsca, zanim się tu pojawiła. Nic nie chciało tu rosnąć. - Wskazała na kwitnące drzewka wiśni pokryte pięknym kwieciami. - Spójrzcie, ktoś inny mógłby sprawić, że wiśnia zakwitnie jesienią? - Zaśmiała się łagodnie.

- A wyhodowanie takiej trawy to też nie lada osiągnięcie.
- Faktycznie robi wrażenie - zgodziła się Vivi.
- Czy zawsze interesowałaś się ogrodnictwem?
- Od tak dawna, jak pamiętam. - Uśmiechnęła się. - Mama nie mogła oderwać mnie od grzebania w ziemi.

Na szczęście wcale tego nie próbowała, pomyślała. Gdy tylko córka zniknęła jej z oczu, Lucina Flynn przestawała się zastanawiać, gdzie jest i czym się zajmuje. Dla dziewczynki było to nawet wygodne, ponieważ mogła zająć się tym, co naprawdę lubiła. Zbierała nasionka, sadziła je i patrzyła, jak rosną. Czuliła się przez to doceniona i akceptowana, zdawało się jej bowiem, że ziemia, dając jej swe plony, dziękowała za poświęcony jej czas i uczucie. Matka natura otaczała ją opieką, a ona odwdzięczała się swoją pracą.

- Czy twoi rodzice są nadal w Wielkiej Brytanii?

- Tak, w Yorkshire.

Vivi uśmiechnęła się triumfalnie.

- Masz rodzeństwo?

- Tylko siostrę.

- Czasem żałuję, że nie mam siostry - wyznała Vivi, rzucając bratu przekorne spojrzenie. - Czy twoja siostra też jest pasjonatką ogrodnictwa?

Bryony nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Nie, skądże! Portia woli zajmować się manikiurem niż nawożeniem roślin.

Vivi straciła równowagę i oparła się o ramię brata. Ben przytrzymał ją.

- Dobrze się czujesz? - zapytał z troską. Vivi odchrząknęła.

- Tak, wszystko w porządku. Po prostu słońce zaświeciło mi prosto w oczy.

Bryony patrzyła na tę parę i wyczuwała tajemniczą moc wirującą wokół nich.

- Cóż - powiedziała, czując, że musi przerwać kłępującą sytuację. - Jeśli pozwolicie, to muszę wracać do pracy.

- Oczywiście. - Ben popchnął siostrę w kierunku domku, a Bryony przesłał uśmiech, powodując, że jej serce znowu mocniej zabiło. - Nie mogę się doczekać naszego kolejnego spotkania.

Mimo najlepszych chęci i zdrowego rozsądku, także nie mogła się go doczekać.

- Wyglądasz dziwnie - skomentowała panna Marion, widząc błyski w jej oczach. - Dobrze się czujesz?

- W porządku - skłamała Bryony. - Nic mi nie jest.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Vivi pastwiła się nad Benedictem, powtarzając w kółko:

- A nie mówiłam!

Mimo jej marudzenia, czuł się szczęśliwy. Wspominał moment, kiedy Bryony przyjechała po nich i zabrała do miasta.

Wioska Tlaquepaque w cudowny sposób łączyła piękno sztuki i natury. Przypominała meksykańską wieś z dachami pokrytymi pięknymi dachówkami, z fontannami i ukrytymi grotami, z brukowanymi uliczkami wijącymi się wśród pokrytych winem ścian. Gdzieś widać było strzeliste, bujne jawory, pod którymi można było znaleźć misternie wykute w żelazie dzieła. Były też piękne arkady, tworzące idealną kryjówkę dla artystów i rzeźbiarzy.

Benedict, który dużo podróżował, uważał się za osobę, która wiele w życiu widziała, ale musiał przyznać, że nigdy dotąd nie znalazł się w miejscu równie czarującym. Usytuowane przy brzegu Oak River miasteczko nosiło nazwę, która w dokładnym tłumaczeniu oznaczała „najlepsze ze wszystkich”. Benedict zgadzał się z tą nazwą.

Vivi była równie oczarowana.

- Nie idę do żadnych cholernych miejsc mocy, kiedy mogę zostać tutaj - marudziła.

- A właśnie, że idziesz - odburknął Benedict, ale jednocześnie uśmiechnął się do siostry.

Bardzo chciał zostać sam na sam z Bryony, jednak wolał tego nie robić. Wiedział, że nie może sobie zaufać. Krótka podróż do wioski wiele go kosztowała. Bryony prowadziła niewielki kabriolet, a on patrzył na jej długie, rozwiane, opadające na plecy włosy. Od czasu do czasu kilka pasemek ocierało się o jej piersi. Za sprawą dowcipnisia, który z czarował jej owoce, Benedict nie mógł przestać myśleć o soczystych gruszkach.

Dodatkowo jej zapach drażnił kusząco. Pachniała jak słońce, jak świeżo skoszona trawa, czysty deszcz i lawenda. Krótko mówiąc, oszalał na jej punkcie.

Przylapał ją na tym, że od czasu do czasu rzucała na niego ukradkowe spojrzenia. Benedict obawiał się, że jeśli Czar Anonimowości przestanie działać, będzie miał poważne kłopoty.

Vivi zajęła tylne siedzenie, zmuszając go, żeby usiadł obok Bryony. Prawdę mówiąc, mimo jej przestrogi przed romansiem z przyszłą szwagierką i przemowy na temat korzystania z życia przed ślubem, z wykluczeniem oczywiście Bryony, Ben miał wrażenie, że siostra celowo aranżuje ich zbliżenie. Jakby cała oddała się tej intrydze.

Ot, choćby teraz chciała się wymigać ze wspólnej wycieczki do miejsca mocy. Nie mógł do tego dopuścić.

- Nie do końca rozumiem twoją strategię, Vivi. Przecież przyjechałaś tutaj, żeby mi pomóc. - Spojrzał na nią groźnie. - A na razie nie za dobrze ci idzie.

Poklepała go po policzku.

- I tu się właśnie mylisz. - Spojrzała na Bryony:

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym nie szła z wami do miejsca mocy, tylko została tutaj?

- Obdarzyła ją swoim najmiłszym uśmiechem.

Bryony zmarszczyła brwi.

- Nie sądzę, żeby... - Zanim zdążyła dokończyć, Vivi wymówiła zaklęcie i twarz Bryony natychmiast się rozchmurzyła. - ...żeby to był problem. - Zamrugła, jakby zdziwiona słowami, które po prostu same wyszły z jej ust. Nie próbowała jednak ich zmienić.

Wiedźma, pomyślał Benedict, gotów udusić siostrę.

- Zadzwońcie do mnie na komórkę, kiedy będziecie wracać - zawołała na pożegnanie.

Bryony patrzyła za odchodzącą Vivi, najwyraźniej pozostając nadal pod wpływem jej czarów. Odwróciła się i spojrzała na Benedicta.

- To jak, jesteś gotów?

Wiedział, że nie jest, ale skinął głową.

- Oczywiście - przytaknął, podążając za nią w stronę samochodu.

Usiadł na siedzeniu dla pasażera i założył okulary przeciwsłoneczne.

- Gdzie jedziemy? - zapytał.

Bryony wskazała na jedną z dużych czerwonych skał odbijającą się na tle kobaltowego nieba.

- Bell Rock, nazywana tak dlatego, ponieważ...

- ...wygląda jak dzwon - dokończył za nią z uśmiechem.

Odzwajemniła uśmiech, przełamując napięcie, które panowało między nimi.

- Właśnie.

- Jaką moc ma Bell Rock?

- Jest to jedno z potężniejszych miejsc mocy w regionie. Nie tylko możesz to poczuć, ale i zobaczyć.

- Co masz na myśli?

- Sam się przekonasz - odparła tajemniczo i delikatnie się uśmiechnęła, kierując samochód na prawie nieuczęszczaną drogę. Po chwili zatrzymała się. - Czekaj nas krótka wycieczka. - Wsiadła z auta.

Wyjęła kilka butelek wody z podręcznej lodówki i wręczyła je Benowi. Podziękował i stanął obok niej, gotów do drogi.

- Czujesz to? - spytała przez ramię, idąc przed nim przetartą ścieżką. Czuł coś bardzo silnego od chwili, gdy tu przyjechali.

- Tak, czuję.

Bryony znów się uśmiechnęła.

- Zawsze przechodzą mnie ciarki, kiedy tu przychodzę. Zobacz, jak poskręcane są te gałęzie. - Wskazała na krzew jałowca. - Energia jest niezwykle silna. Sprawia, że rosną spiralnie. Fajnie, prawda?

- Rzeczywiście. Często tu przychodzisz?

- Kiedyś tak - odparła, podnosząc z ziemi listek. - Gdy pierwszy raz tu przyszedłam, byłam tak zachwycona, że mogłabym odwiedzać miejsca mocy każdego dnia.

- Sprawiają, że dobrze się czujesz?

- Nie, po prostu liczyłam na cud - stwierdziła ze smutkiem.

- Ach... no tak.

Kolejny element układanki zdawał się pasować do całości. Ze smutku w jej głosie wywnioskował, że ten cud dotąd nie nadszedł. Ciekawe, dlaczego zatem tu została? - pomyślał. Dlaczego nie wróciła do domu?

- Tak czy siak, innym osobom pomogły - powiedziała radośniejszym głosem. - Chociaż dotąd nie obudziłam w pełni moich mocy, muszę powiedzieć, że mój dar jest z każdym dniem silniejszy.

Miała przynajmniej jakiś dar, pomyślał z zazdrością. Nigdy nie czuł nic, co choćby odrobinę przypominało nadejście magicznych mocy. Nie było zawirowań energii, kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, przez jego ciało nie przebiegały

elektryczne impulsy zatrzymujące się w koniuszkach palców. Nic, co z opowieści znał jako sygnał pojawienia się upragnionych właściwości.

Czy poczuje tę siłę portalu? Miał taką nadzieję, a im bliżej podchodzili, tym to uczucie stawało się silniejsze. Nie liczył jednak na to, że jedna krótka wizyta w Bell Rock zrobi z niego czarodzieja.

Bryony podeszła do miejsca, które opisała jako swoje ulubione.

- Co teraz będziemy robić? - spytał, dołączając do niej.

Zamknęła oczy. Delikatny uśmiech tańczył na jej ustach. Końcówki włosów wirowały wokół głowy, tym razem jednak nie z powodu wiatru, lecz unoszącej się energii. Poczuł, że włoski na jego przedramionach stają dęba, a żołądek się zacisnął. Zaskoczyła go reakcja jego ciała.

- A teraz czekamy - szepnęła. - Pozwól energii przeniknąć do ciała. Poczuj tornado... Co robi tornado?

- Niszczy domy i kempingi.

Bryony zachichotała, nie otwierając oczu i zmuszając go do śmiechu.

- Nie o taką wizualizację prosiłam, ale skoro to ci przyszło do głowy, opowiedz mi dokładnie, jak tornado niszczy kempingi.

- Oczekujesz naukowego wyjaśnienia?

- Nieważne. - Postanowiła sama to wyjaśnić. - Otóż energia wiatru działa jak magnes, przyciągając wszystko, co spotka na drodze. Tworzy się komin, który działa jak odkurzacz i wsysa wszystko do środka. Zgadza się?

- Nie wiem, nie jestem meteorologiem, ale brzmi bardzo fachowo.

Stłumiła śmiech.

- Czy ktoś już ci kiedyś mówił, że jesteś irytujący?

- Nie, ale Vivi często mi powtarza, że jestem jak wrzód na tyłku.

Tym razem Bryony nie powstrzymała wybuchu śmiechu.

- Muszę jej przyznać rację.

- Jesteś moją nauczycielką. Nie powinnaś mnie obrażać.

Odetchnęła, gotowa kontynuować lekcję.

- Tak więc portal działa na podobnej zasadzie. Energia reaguje na twoją wewnętrzną siłę.

- A jeśli jej nie posiadam? - spytał, gdyż właśnie tego się obawiał.

- Każdy ją ma - odparła łagodnie, bo świetnie go rozumiała. - Nawet zwykli śmiertelnicy. Wszystko jest tylko kwestią odblokowania negatywnej energii i zastąpienia jej dobrą, magiczną siłą.

- Wierzysz, że to działa?

- Ja wiem, że to działa. A teraz przestań gadać i poczuj, jak wypełnia cię energia.

Nabrał dużo powietrza w płuca, a potem wypuścił je głośno, zamykając przy tym oczy. Poczul bliskość Bryony, choć jej nie widział. Czuł też jej zapach, który doskonale pasował do tego miejsca i wirując, wypełniał całe jego wnętrze.

Choć wiedział, że nie powinien tego robić, otworzył oczy. Wiedział, że działa na niego niejedna energia. Zastanawiał się, czy to, co czuje, to tylko energia portalu. Uczucie było silniejsze, niż się tego spodziewał. Wirując od palców stóp, nieznana mu dotąd siła wypełniała jego ciało.

W pewnym miejscu jednak ta energia łączyła się z inną, seksualną siłą.

Wydawało mu się, że Bryony zbliżyła się do niego. Oczy miała nadal zamknięte, a jej długie rzęsy rzucały cień na alabastrowe policzki. Usta miała lekko rozchylone i wilgotne.

Kolejny skurcz ścisnął mu żołądek. Poczul mrowienie w dłoniach i twardnienie członka.

To jest siostra Portii, powtarzał sobie w myślach. To jest złe, złe, złe, próbował się opanować.

Powinien odsunąć się od niej jak najdalej, lecz jeszcze bardziej pragnął chwycić ją w ramiona i pocałować. Czuł to pragnienie każdym centymetrem ciała. I nagle... przestał się kontrolować.



Zawsze dbał o to, żeby robić rzeczy, które wypadało zrobić. Nigdy nie zachowywał się dwuznacznie. Był zatem pewny, że teraz musiał się znaleźć pod wpływem potężnego uroku.

I nagle zrozumiał, że był pod jej urokiem.

Bryony wybrała odpowiedni moment na otworenie oczu. Były czyste i zielone jak najpiękniejsze szmaragdy, jakie kiedykolwiek widział. Spojrzała na jego usta i uniosła się, aby do nich dosięgnąć. Pożądanie przesłoniło jej wzrok. Wydała z siebie cichy jęk rozkoszy, który Benedict odwzajemnił z jeszcze większą namiętnością. Wszystkie dobre intencje poszły w zapomnienie.

- Panie Martin - odezwała się po chwili.

Przysunął się do niej bliżej, gładząc palcami jej policzki i czując, jak kolejna fala energii wypełnia jego ciało. W oczach Bryony dostrzegł podobne uczucia.

- Proszę, mów do mnie Ben. - Zbliżył usta do jej warg.

- Co robisz, Ben? - szepnęła.

- Myślę o tym, żeby cię pocałować.

- Czy nie za dużo myślisz? Zachichotał.

- Tylko wtedy, kiedy próbuję być dobry.

- A czy całowanie mnie jest czymś złym?

- Nie - odparł ze śmiechem. - Będzie czymś magicznym. To konsekwencje mogą być złe. - Zamilkł na moment. - Ale przeanalizowałem wszystkie zagrożenia i korzyści i doszedłem do wniosku, że warto zaryzykować. Nagroda będzie tego warta.

Złożył na jej ustach delikatny pocałunek, który był jedynie zapowiedzią tego, co nastąpiło po chwili. Całował ją namiętnie i długo, a ona z rozkoszą poddawała się jego pieścizotom. Wsunęła palce w jego włosy, przyłgnęła do Bena.

- Lepiej, żeby tak było - szepnęła między pocałunkami.

Otoczył ją ramionami. Czuł, że z każdym oddechem wypełnia go coraz silniejsza energia. Coś w nim wibrowało w rytm siły, której absolutnie nie spodziewał się po sobie.

Opadła w jego ramiona, pogłębiając pocałunek. Jej włosy ocierały się o jego policzki. Smakowała jak syrop klonowy i jak gorący seks. Nigdy jeszcze nie doznała takiej rozkoszy.

Chciałby tak się czuć do końca życia.

Zaskoczyła go ta myśl, bo przecież poznali się z Bryony zaledwie wczoraj. Nie mógł jednak otrząsnąć się z tych uczuć. Pragnął, żeby należała tylko do niego. Pierwotne instynkty rosły w nim niczym kwiat. Poczuł śmieszne i zarazem przemożne pragnienie zaciągnięcia swojej kobiety do najbliższej jaskini.

Oddychając ciężko, rozłączyli usta i stanęli naprzeciwko siebie. Drżący uśmiech przebiegł po jej wargach.

- To było... - zaczęła.

- Jakie było?

- Warte ryzyka... Chodź, musimy wracać.

To prawda, pomyślał. Im szybciej wrócimy, tym szybciej będę mógł nacieszyć się nią w pełni. Ta myśl wydała mu się śmieszna, niedorzeczna i nierealna, ale jak wcześniej powiedział, nagroda, która go czekała, była warta każdego ryzyka.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Vivi wzięła książkę o Sedonie Schnebly, która wywodziła się z jednej z pierwszych rodzin w regionie i której imieniem nazwano miasto. Udawała, że czyta, kiedy Benedict kończył odrabiać pracę domową. Wyglądał na zaabsorbowanego, ale co pięć minut zerkał na zegarek. Dobrze wiedziała, dlaczego to robił.

Był umówiony na kolację z Bryony i nie mógł się doczekać.

Vivi uśmiechnęła się pod nosem i przewróciła stronę. Bransoletki, które kupiła w mieście, dzwoniły na jej nadgarstkach. Pomyślała, że pozwalając bratu i Bryony spędzić czas tylko we dwoje, postąpiła słusznie. To była dobra decyzja, bo czas pełnił tu kluczową rolę.

Oczywiście próbowała zmusić brata, żeby powiedział, co zaszło. Chociaż nie uzyskała żadnych szczegółów, przyznał się do pocałunku z Bryony. Prawdę mówiąc, tego akurat nie musiał mówić, bo jego usta miały nienaturalny i niezbyt męski kolor.

Poza tym widziała, jak Ben patrzył na Bryony. To spojrzenie zdradzało znacznie więcej, niż chciałby zdradzić. Po prostu nie mógł oderwać od niej oczu. To nie było zwykłe zauroczenie, o nie. Z tej pary była niespotykana i bardzo erotyczna siła.

Vivi cieszyła się. Wiedziała, że Ben zasłużył na szczęście i miłość. Czuła, że jeśli jeszcze się nie zakochał, stanie się to przed końcem tego tygodnia, a wówczas nie będzie żadnej możliwości, by poślubił Portię, niezależnie od układów rodzinnych.

Przekreśliła kolejną stronę i znów się uśmiechnęła. Wszystko układało się po jej myśli.

A niech to, całowałam się z uczniem, zganiała się w myślach.

Założyła kwarcowy naszyjnik i wygładziła nerwowo nieistniejące zagniecenia na sukience.

Jednak teraz, gdy już zrozumiała swój błąd, zamiast podążać ścieżką pokuty i trzymać się z dala od Bena, przyjęła zaproszenie na kolację. Najwyraźniej podczas wycieczki do portalu Bell Rock zupełnie straciła głowę.

Musiała przyznać, że choć była w tym miejscu wiele razy, jeszcze nigdy nie czuła tak silnej energii, jak dzisiaj, gdy Benedict był u jej boku. Miała wrażenie, że kiedy się całowali, jej stopy uniosły się nad ziemią. Początkowo myślała, że jej się przywidziało, ale kiedy po południu wypowiedziała zaklęcie powiększania, wzrost roślin z pewnością nie był urojeniem.

Jej moc stawała się coraz silniejsza. I wierzyła święcie, że to Ben Martin jej pomógł.

Bryony nie chciała się oszukiwać, więc nie starała się nawet udawać, że położy kres budzącemu się uczuciu. Ten mężczyzna pociągał ją wprost nieodparcie. I wciąż nie opuszczało jej wrażenie, że już go kiedyś widziała.

Patrzyła na niego z pożądaniem. Ruch jego warg wywoływał w niej dreszcze. Kiedy wracali z Bell Rock, zapatrzyła się w jego dłonie. Były silne, a zarazem delikatne, i doskonale wiedziały, jak doprowadzić kobietę do ekstazy. Takich emocji nie czuła nigdy w życiu.

Nie była dziewicą. Miała w życiu kilku kochanków, ale tylko jednego od czasu, kiedy przyjechała do Stanów. Żaden z nich nie wzbudził w niej takich emocji jak Ben Martin. Pragnęła go z taką intensywnością, że czuła go niemal każdą swoją komórką.

Wiedziała, że jeśli kiedykolwiek miałyby wejść na zakazaną ścieżkę, to musiała to zrobić teraz, kiedy Reginy nie było w Archiwum. Rozmowa z panną Martin upewniła ją, że szefowa nie wróci przez kilka najbliższych dni. Bryony była wdzięczna za to zrządzenie losu.

Wieczorem wychodziła z Benem na kolację do czarującego miejsca w miasteczku, znanego z ciemnego piwa i żeberek. Prawdę mówiąc, nie przeszkadzałoby jej, gdyby poszli do baru szybkiej obsługi. Po prostu chciała być z nim.

Kolejną korzyść stanowił fakt, że profesor Huggins był nadal w złej formie i panna Marion poprosiła Bryony, aby zajęła się Benem i towarzyszyła mu przy kolejnych szkolnych portalach. Ucieszyła się niezmiernie, tym bardziej że mieli tak mało czasu. Było to równie stresujące, co kuszące. Musieli się śpieszyć i wiedzieli o tym doskonale.

Było to szaleństwo, ale dni od czasu przyjazdu Bena stały się dalekie od normalności.

Bryony wiedziała, że w kolejny piątek już będzie po wszystkim, a Ben wróci do... Zatrzymała się, uświadamiając sobie, że nawet nie wie, skąd on pochodził.

Usłyszała pukanie do drzwi. Odetchnęła głęboko i wpuściła go do środka.

- Skąd pochodzisz? - spytała go od progu.

- Słucham? - Zamrugał szybko ze zdziwienia.

- Skąd pochodzisz? - powtórzyła. - Właśnie do mnie dotarło, że powinnam to wiedzieć, biorąc pod uwagę...

- Biorąc pod uwagę co?

- Niewłaściwy charakter naszej znajomości. Jeśli mam zostać wsadzona do więzienia za romans z uczniem, to chciałabym chociaż wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Do więzienia? O czym ty mówisz?

- To kolejna zasada uczelni. Nauczyciele nie mogą wiązać się uczuciowo z uczniami. Skoro jednak moja szefowa wyjechała na tydzień, postanowiłam... Jak ty to mówiłeś? Sprawdzić, czy nagroda jest warta podjętego ryzyka.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Pocałowała go w odpowiedzi, a on uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z jej reakcji.

- Lubisz mnie - zauważył z uśmiechem.

- No cóż, ty mnie też, więc jesteśmy kwita. - Popchnęła go w stronę drzwi. - Chodźmy, mamy rezerwację.

Dziesięć minut później siedzieli na chłodnym, kamiennym balkonie przy kominku. Słońce chowało się za horyzontem, malując krajobraz i skaliste góry złotem i purpurą. Ben, ubrany w eleganckie spodnie i niebieską koszulę, rozparł się wygodnie na krześle i odetchnął głęboko.

- Zgaduję, że nie znudziło ci się jeszcze patrzenie na takie widoki.

- Nie, nigdy mi się nie znudzi. - Pociągnęła łyk piwa. - Chociaż nie mogę powiedzieć, że nie tęsknię za Yorkshire. Ale tutaj jest inaczej. Lepiej mi się tu oddycha, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kelnerka przyniosła wino i przyjęła zamówienie. Kiedy odeszła, Ben spytał:

- Nie tęsknisz za rodziną?

Nie była pewna, ile powinna mu powiedzieć. Nie chciała go okłamywać. Zwykle nie mówiła prawdy, ale teraz pomyślała, że nie ma nic do stracenia. Komu Ben miałby zdradzić jej sekrety?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Bardzo cenię szczerość - odparł z ciepłym uśmiechem.

- Nie chodzi o to, że mi na nich nie zależy. Tylko... - Westchnęła. - Moja starsza siostra wkrótce wychodzi za mąż za mężczyznę, który pochodzi z wpływowej rodziny. Moi rodzice zawsze stawiali jej potrzeby ponad moimi.

- Podniosła do ust kieliszek. - Przynoszę im wstyd, bo nie mam magicznych umiejętności. Sugerowali, bym została w Stanach przynajmniej do ślubu mojej siostry. Po prostu boją się, że z mojego powodu mój przyszły szwagier mógłby się rozmyślić.

- To fatalnie - wykrztusił po dłuższej chwili.

- Cóż, taka jest prawda. Ale mniejsza z tym, bo i tak nie chcę wracać. Wolę zostać tutaj. Złożyłam już nawet podanie o obywatelstwo. - I nagle przypomniała sobie, o co miała go zapytać. - Nie powiedziałeś mi, skąd pochodzisz.

- To bez znaczenia - odparł wymijająco.

- Wiele ci o sobie opowiedziałam, teraz czas na ciebie. Wiesz, skąd pochodzisz, czym się zajmujesz, jak dużą masz rodzinę.

Poczuł, że gardło mu się zaciska. Gorączkowo myślał nad odpowiedzią. Światło zachodzącego słońca migotało na jego czarnych włosach, sprawiając, że wydawał się Bryony jeszcze bardziej seksowny.

- Mieszkamy w północnej części Nowego Jorku. Jestem szefem rodzinnego holdingu, zajmuję się też inwestycjami bankowymi. Jeśli chodzi o rodzinę, to mam Vivi, która jest zmartwieniem mojego życia. - Zaśmiał się. - Mam też matkę i ojca, którzy zaniepokojeni ingerują w moje życie prywatne, ale wiem, że chcą dla mnie jak najlepiej. - Sięgnął po wino. - Nie zawsze zgadzamy się w tym, co jest dla mnie najlepsze.

- Nie rozumiem, dlaczego to stanowi dla ciebie problem.

- Ponieważ całe życie wiedziałem, jak bardzo są mną rozczarowani, poczucie winy zmuszało mnie do zgadzania się ze wszystkim, co mówili.

Serce zabiło jej mocno. Doskonale go rozumiała.

- Dlaczego myślisz, że ich rozczarowujesz?

- Dowodem na to jest fakt, że tu jestem.

- To, że nie masz mocy, nie powinno być dla nich powodem do wstydu, a biorąc pod uwagę rzeczy, które naprawdę mają znaczenie, myślę, że zasługujesz na więcej.

- Ty także - szepnął, wpatrując się w jej zielone oczy.

Ten komplement rozgrzał jej serce.

- Vivi bardzo cię wspiera, inaczej nie byłaby tu z tobą. Widać po niej, że czuje potrzebę przybywania tutaj.

- Jak to odgadłaś?

Oparła się wygodnie w krześle.

- Na przykład po jej zachowaniu dziś po południu. Kiedy się nad tym zastanowiłam, wszystko stało się jasne. Ona rzuciła na nas czar. - Zaśmiała się. - Czy często bawi się w swatkę?

- Nigdy dotąd tego nie robiła.

- W takim razie powinnam być szczęśliwa, a nie wściekła. - Zawahała się i zmieniła temat.

- Czy wyprawa do Bell Rock choć trochę ci pomogła?

- Coś się wydarzyło - powiedział tajemniczo, podczas gdy kelner podawał im posiłek.

- Ale nie wiem, czy było to zasługą energii portalu, czy raczej naszego pocałunku.

- A ja dziś z sukcesem wypowiedziałam zakłęcie. Nie wiem, jak to się stało, ale czuję się silniejsza.

- Wydaje ci się więc, że nasze pocałunki mogą ci pomóc?

- Być może... - Uśmiechnęła się, wiedząc doskonale, dokąd ta rozmowa zmierza.

- Możesz więc liczyć na mnie aż do końca pobytu.

- Hola, nie przeceniaj swoich możliwości!

- Nie przeceniam. Marion powiedziała, że zabierzesz mnie też do innych miejsc mocy. Będę miał więc więcej możliwości przyjść ci z pomocą. Zawsze do usług.

- Dzięki. Kto wie, może ja także będę mogła ci pomóc.

- Nie wahaj się. Oddaję się w twoje ręce.

W głowie jej zaszumiało. Oto szansa, której za nic nie chciała stracić...

Dobry Boże, pomyślała, jestem w poważnych tarapatach.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co zamierzasz zrobić?

Benedict spojrział znad kolejnego pliku papierów na swoją siostrę. Nie chciał z nią teraz rozmawiać.

Wiedział wprawdzie, co musi zrobić, jednak jeszcze nie wiedział jak. Miał za to świadomość, że czas ucieka. Wyjeżdżał z Sedony jutro po południu i nie wyobrażał sobie wyjazdu bez Bryony.

Kiedy tylko nie był na zajęciach, spotykał się z nią. Wczoraj odwiedzili kolejny portal, tym razem w okolicy lotniska, i to samo elektryzujące uczucie ogarnęło ich ciała. Za każdym razem siła wzajemnego uczucia potężniała.

Choć jego moce nie zostały do końca obudzone, zaczynał czuć ich obecność tuż pod powierzchnią skóry. Rosnąca energia przepływała przez żyły, aż czuł mrowienie w palcach. Wiedział, że ujawnienie się jego magicznych umiejętności jest tylko kwestią czasu. Gdyby mógł zostać tu i ćwiczyć z Bryony, szanse jeszcze by wzrosły.

To miejsce i ta kobieta tworzyły mieszankę, dzięki której czuł, że żyje.

- Ben, przestań mnie ignorować - ponownie ofuknęła go Vivi. - Wiesz przecież, o czym mówię.

Oczywiście, że wiedział. Poślubienie Portii w tej sytuacji po prostu nie wchodziło w grę. Czuł, że coraz mocniej zakochuje się w jej siostrze. Rozum podpowiadał mu jednak, że to nie jest dobry pomysł. Wszystko działo się zbyt szybko. Przecież znali się zaledwie kilka dni. Miał jednak wrażenie, że znają się całe życie.

Kiedy był przy niej, czas niemal stawał w miejscu. Śmiali się, rozmawiali, całowali, zdradzali sobie sekrety i opowiadali o marzeniach. Wczorajszej nocy

mogli posunąć się dalej, lecz coś go powstrzymało. Nie mógł kochać się z nią, dopóki nie powie, kim jest. Żałował, że nie zrobił tego już na samym początku. Gdyby chciała, mogłaby go wówczas odtrącić. Był jednak samolubnym łajdakiem i nie chciał narazić się na to ryzyko. A teraz... Teraz było jeszcze trudniej.

Vivi westchnęła ciężko, pokazując, że traci cierpliwość.

- Kiedy zamierzasz zadzwonić do rodziców?

- Jutro - skłamał. Tej rozmowy nie chciał przeprowadzać przez telefon. Wolał spotkać się z nimi twarzą w twarz.

- Jesteś żaloszny - syknęła. - Przecież wiesz, że wyczuwam, kiedy kręcisz.

- Przestań, Vivi. Sam się tym zajmę. Twoje naprzykrzanie się wcale mi nie pomaga.

- Dlaczego nie skaczesz do góry z radości? Zamiast żenić się z kobietą, której nawet nie lubisz, możesz poślubić tę, którą kochasz. Flynnowie i tak będą szczęśliwi. W końcu tak czy siak połączą się z DeWinami. I wszyscy będą zadowoleni.

- Poza Portią - zauważył.

- Da sobie radę - odparła beznamiętnie. - To Bryony ma tu znaczenie.

- Wiem...

Siostra przyjrzała mu się uważnie.

- Mój Boże! - krzyknęła. - Nie powiedziałeś jej, kim jesteś, prawda?

- Jakoś nie było okazji.

- Ty durniu! Czy ty kompletnie postradałeś zmysły? Spędziłeś z nią każdy wieczór i twierdzisz, że jakoś nie było okazji... - Na jej twarzy malowało się przerażenie. - Mam nadzieję, że jeszcze z nią nie spałeś. Bo jeśli tak, to masz przechlapane.

- To nie jest w najmniejszym stopniu twoja sprawa, ale nie, nie spałem z nią - odburknął.

- Miej do mnie choć trochę zaufania. Troszczę się o nią, w porządku?

- Benedict, musisz jej o tym powiedzieć - stwierdziła z powagą. - I to dziś wieczór.

- Właśnie mam taki zamiar.

- Zamiar, zamiar... Po prostu musisz!

Planowali wybrać się do Cathedral Rock, ostatniego miejsca mocy, którego jeszcze nie widzieli. Bryony zaproponowała, żeby poszli tam wieczorem, kiedy jest mniej osób i łatwiej przyciągać energię.

Uprzedziła go, że będzie potrzebowała więcej pomocy z jego strony, sugerując, że chciałaby, aby ich związek wszedł na kolejny poziom. On oczywiście też tego pragnął, ale wiedział, że nie może tego zrobić, dopóki nie powie jej wszystkiego o sobie.

Nie miał innego wyjścia.

Bryony wiedziała, że Ben wyjeżdża następnego dnia, jednak starała się skupiać na pozytywnych aspektach. Myślała o czekającym ich wieczorze.

Wprawdzie Pies na Baby próbował wszelkimi metodami wytropić ją i Bena, jednak w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Była gotowa ponieść konsekwencje, lecz teraz zamierzała korzystać z czasu, który jej pozostał.

Ostatnio zauważyła, że Ben z niezrozumiałego powodu zaczął utrzymywać w stosunku do niej dystans. Nie mogła rozgryźć, dlaczego tak się dzieje, gdyż była absolutnie pewna, że bardzo jej pragnął. Za każdym razem, kiedy ją całował, czuła, że łączy ich wyjątkowa więź. Zauroczenie i troska. Wiedziała, że szczerze się nią opiekował.

Gardło zacisnęło jej się z emocji. Choć bała się do tego przyznać, miała wrażenie, że Ben Martin ją pokochał. To, jak na nią patrzył, jak jej dotykał, jak całował, utwierdzało ją w tym przekonaniu. Przy nim czuła inny, silniejszy rodzaj energii. Chociaż jej moce nie wyzwoliły się do końca, wiedziała, że je posiada i tylko odpowiedni klucz może je wyswobodzić.

Tym kluczem był Ben Martin... bo któżby inny?

Zapakowała kolację do koszyka piknikowego. Wzięła też koc i poduszki, żeby było im wygodniej, gdyby chciał ją uwieść na tylnym siedzeniu samochodu.

Vivi wydawała się dziwnie zamyślona, siedząc na ganku, kiedy Bryony podjechała po Bena.

- Wszystko w porządku? - spytała zasmucona Bryony,

- Jasne. - Zmarszczyła czoło. - Tylko tak myślę, że ty i Ben spędzacie wesoło czas, a ja tu siedzę sama.

Musiała przyznać jej rację.

- Pies na Baby jest sam - zażartowała. - Mogę was umówić.

- Na pewno jest jakiś powód, dla którego jest samotny. I obawiam się, że ma więcej wad, niż tylko te, dzięki którym zdobył przezwisko. - Wzdrygnęła się. - Wybacz, ale chyba podziękuję.

- Czy Ben jest gotowy?

- Kończy pisanie eseju na temat eliksirów. - Wskazała drzwi. - Możesz wejść. Jestem pewna, że zjawi się za minutę.

W tej samej chwili na ganku pojawił się Ben i z uśmiechem przywitał Bryony, składając na jej ustach delikatny pocałunek.

- Już jestem gotowy - zameldował się. - Postaraj się być grzeczna - zwrócił się do siostry.

- Ty też - stwierdziła z powagą.

Bryony zastanowiła się, co może oznaczać ta wymiana zdań, ale była zbyt szczęśliwa, żeby dłużej tym się zajmować. To miała być ich ostatnia noc i chciała dostarczyć Benowi niezapomnianych przeżyć.

Vivi poczekała, aż samochód zniknął za zakrętem, i powoli wyjęła telefon komórkowy. To, że Ben nie był gotowy na rozmowę z rodzicami, nie oznaczało, że nie nadszedł właśnie najlepszy czas, aby ich poinformować o sytuacji. Czowała, że powinna pozwolić bratu to zrobić, ale...

Obawiała się, że Ben nie zrobi tego wystarczająco szybko. Jej zdaniem nie było na co czekać. Wiedziała wprawdzie, że znowu się miesza w jego sprawy, miała jednak nadzieję, że za to również kiedyś jej podziękuje.

Wykręciła numer rodziców i czekała, aż mama podniesie słuchawkę. Tata rzadko korzystał z komórki.

- Halo? - usłyszała głos w słuchawce.

- Mamo, tu Vivi.

- Wiem, że to ty, kochanie. - Głos mamy był łagodny i spokojny. - Czy wszystko w porządku? Czy Benedict przeżył przebudzenie?

- Nie, ale zdarzyło się coś lepszego.

- Lepszego? Nie rozumiem.

- Zakochał się.

Matka, która zawsze miała romantyczną duszę, zawołała z radością:

- Ach, to wspaniale! Nasz Ben się zakochał. To cudownie! Dlaczego dopiero teraz mówisz mi o tak dobrych nowinach? - I nagle zamilkła, natomiast Vivi czekała, aż matka zrozumie powagę sytuacji. - O rety, on się zakochał - powtórzyła, lecz tym razem już bez entuzjazmu.

- No właśnie - zgodziła się Vivi. - To raczej złe nowiny dla jego narzeczonej. - Przerwała na moment. - A do tego jeszcze nie powiedziałam ci najważniejszego.

- No to mów...

- Zakochał się w młodszej siostrze Portii Flynn.

- Nie!

- Niestety tak.

- A co ona tam robi?

- Mieszka tu od czterech lat. Podobnie jak Ben szuka magicznych zdolności.

Jej rodzina wyrzuciła ją tutaj, żebyśmy się o niej nie dowiedzieli. Bali się, że moglibyśmy odwołać ślub.

- To straszne.

- Nie dla Bena. On jest naprawdę zakochany.
- A czy ona odwzajemnia jego uczucia?
- Z całą pewnością.
- No tak... A dlaczego to ty dzwonisz? Dlaczego nie Ben?
- Bo nie wie, jak wam to powiedzieć. Nie chciał ponownie was rozczarować, mamó - dodała z westchnieniem.
- Och, Vivi, on nas nigdy nie rozczarował - odparła ze smutkiem.
- No to teraz jest czas, żeby to udowodnić, mamó. Ty i tata musicie mu dać wsparcie. On będzie nieszczęśliwy, jeśli ożeni się z Portią.
- Żaden rodzic nie chciałby, żeby jego dziecko było nieszczęśliwe.
- A więc odwołajcie wesele. Zapadła kłopotliwa cisza.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- Wiedziałałam, że mogę na ciebie liczyć - ucieszyła się Vivi.
- Dopilnuj, żeby przywiózł ją z sobą do domu, kochanie. Chciałabym poznać kobietę, której mój syn w końcu zdecydował się oddać swoje serce.
- Tak zrobię, na pewno. - A w duchu dodała: No, Ben, jesteś wreszcie wolny.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Głowę oparła na jego barku. Ben otoczył ją ramieniem i wspólnie wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo. Było granatowe jak atrament, a gwiazdy migotały niczym brylanty.

Wyjęła koce i poduszki z samochodu i rozłożyła na trawie. Obok postawiła koszyk z jedzeniem. Benedict czekał na dobry moment, żeby powiedzieć jej, kim jest, ale jak do tej pory nie zdecydował się tego zrobić. Bryony pragnęła, żeby ten wieczór był idealny pod każdym względem. Cały czas napomykała coś o ich ostatniej wspólnej nocy, o upływających minutach. Ben nie chciał zrujnować jej marzeń.

Wiedział jednak, że musi powiedzieć jej prawdę.

- Bryony - zaczął.

Obróciła się w jego stronę i wsunęła mu dłoń pod koszulkę.

- Tak?

- Czy wierzysz teraz w miłość, w którą kiedyś wątpiłaś, podobnie jak w to, że nigdy nie odzyskasz magicznych mocy?

- Teraz wierzę. - Uniosła się, żeby spojrzeć mu w oczy. - Dlaczego pytasz? A ty nie wierzysz?

- Sam nie wiem - mruknął. - Po prostu nie mogę zrozumieć, kiedy w to wszystko wpadłem.

- To akurat mogę ci powiedzieć. - Położyła się ponownie na jego ramieniu.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony.

- Oczywiście.

- No więc?

- Chcesz, żebym ci opowiedziała? - spytała, udając niewiniątko.

- Byłoby miło, gdybyś to zrobiła. Skoro ty wiesz, a ja nie...

- To ty jesteś winien odrzucania miłości.

- Ja?

- Tak.

Początkowo chciał się oburzyć, ale się powstrzymał.

- Nie wydaje mi się - tłumaczył. - Czyją miłość odrzucam?

- Wszystkich. Taki jest efekt twojego kompleksu i poczucia winy.

- Ja mam kompleksy? - Nigdy o tym w ten sposób nie myślał.

- Masz, ale jeśli dobrze się domyślam, to przede wszystkim odrzuciłeś miłość do samego siebie.

Zaśmiał się cicho. Ta historia wydała mu się kuriozalna.

- Jak niby miałbym odrzucić miłość do siebie?

Masowała jego tors i brzuch, powodując, że jej odpowiedź nagle przestała być dla niego tak ważna.

- Cóż, jeśli ktoś, tak jak ty, żyje w poczuciu winy, wówczas zaczyna myśleć, że nie jest wart niczyjej miłości. I nawet jeśli akceptuje miłość rodziców czy rodzeństwa, to jednak nie wierzy w swoją wartość i w szansę na miłość. - Pocałowała go w policzek. - Krótko mówiąc, nie kochasz siebie, ponieważ nie wierzysz, że jesteś wart tego, żeby cię kochać.

Pochyliła się, aby złożyć pocałunek na jego ustach. Ben poczuł ucisk w żołądku. Tym razem nie tylko z powodu reakcji na jej czułość, ale i na to, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim jej słowa.

- A jesteś tego wart - mówiła dalej. - Zasługujesz na miłość i na znacznie więcej. - Ponownie go pocałowała. - Czy odrzucisz moją miłość? - spytała cicho. - A może pozwolisz mi się kochać?

Jej słowa przełamały tamę. Odpowiedział jej w jedyny sposób, w jaki potrafił. Wsunął palce w jej włosy i odwzajemnił pocałunek.

Tak, myślał. Kochaj mnie. Pozwól mi wierzyć, że jestem w czymś dobry. Daj mi wiarę, że coś dla kogoś znaczę. A później wybacz mi to, kim jestem.



Bryony uśmiechnęła się i poddała jego pocałunkom. Czowała, jak jej piersi nabrzmiwiają pod cienkim materiałem biustonosza.

Wreszcie to się stanie, myślała.

Przez cały wieczór dawała mu sygnały, czekając, aż zrobi ostatni ruch. Jednak z jakiegoś powodu Ben się wstrzymywał. Nie wiedziała, jakie wątpliwości nim targają. Zrzucała to na karb tego, że chciał zachowywać się jak dżentelmen.

Ale tego wieczoru pragnęła kochanka, nie dżentelmena.

Pragnęła mieć wspomnienia, które będzie mogła zachować w pamięci do końca życia. Chciała się z nim kochać pod rozgwieżdżonym niebem. Było to jedno ze świętych i najsilniejszych miejsc mocy w Sedonie. Nawet teraz czowała energię wirującą wokół nich.

Celowo czekała, aż większość odwiedzających odejdzie stąd, zanim go tu przywiodła. Znalazła zaciszne miejsce, w którym nikt nie mógł im przeszkodzić. Kiedy Ben delikatnie zdjął jej bluzkę, wiedziała, że jej plan zadziałał. Zdjęła spodnie i bieliznę i wślizgnęła się pod jego ciało jak pod koc.

Zwykle była dość wstydliva, lecz teraz zupełnie jej nie przeszkadzało, że leży przy nim całkiem naga. Czowała się bezpiecznie i swobodnie. Nie bała się, że mogłaby zostać odrzucona.

W oczach Bena jaśniało pożądanie.

Czowała, że jej ciało napęlnia się potężną magiczną energią. W palcach znów pojawiło się mrowienie.

Ben miał mi pomóc i pomaga, pomyślała z grzesznym uśmiechem.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytał, całując jej powieki.

- Ależ skąd, po prostu oczekuję dalszej pomocy. - Uśmiechnęła się.

- Czyżby był ci potrzebny pomocnik? - spytał głosem ochryplym z pożądania.

Sięgnęła ręką do paska jego spodni i odpięła guzik.

- Czy nie powiedziałam tego wystarczająco jasno?

- Powoli zaczyna mi się rozjaśniać - droczył się z nią.

- Chodź... - Odważyła się na bardzo śmiałą pieszczotę. - Pozwól, że ci to wyklaruję do końca.

Ponownie go pocałowała, doprowadzając go dłonią niemal do szaleństwa. Mruczała przy tym z rozkoszą, czując, że jej ruchy sprawiają mu taką przyjemność. Odsunął się na chwilę, aby opanować zmysły, a jednocześnie oswobodził się z reszty ubrania.

Po chwili znów był przy niej. Całkiem nagi.

Jestem w niebie, pomyślała, kiedy Ben całował jej piersi. Marzyła, żeby poczuć go w sobie jak najgłębiej. Nie zwracała uwagi na nagły wiatr, który zerwał się nad nimi. Przyjemność, która ją wypełniała, nie pozostawiała miejsca na inne odczucia.

- Masz cudowny smak. - Pocałował jej drugą pierś. Dłoń przesunął w dół brzucha, trafiając w najczulszy punkt. - A to będzie smakowało jeszcze lepiej.

Zanim zdążyła pomyśleć, już jego usta dotarły do wymarzonego miejsca. Zaciśnęła dłonie na brzegach koca, jęcząc i wijąc się z rozkoszy. Czowała, jak rozkosz rośnie w niej, prowadząc do nieuchronnego orgazmu.

- Nie tak - jęknęła. - Proszę, chcę cię poczuć w sobie. - Było to dla niej bardzo ważne.

Kolejny powiew wiatru otoczył ich, podrywając brzegi koca. Bryony trzymała go jednak mocno. Gdyby tego nie robiła, zdawać by się mogło, że odleciałyby razem z wiatrem.

Ben z rozkoszą spełnił jej żądanie, kładąc się między jej udami.

- Więc jak to z tobą jest? - spytał. - Nie wierzysz w miłość, czy może nigdy nie zaznałaś miłości?

- Słucham? - spytała zdziwiona, nie mogąc skoncentrować się na niczym innym niż ich ciała. Widziała nad sobą jego twarz rozpaloną męską żądzą. - Znasz przecież moją historię. Jak myślisz?

- Myślę, że nigdy nie zaznałaś prawdziwej miłości.

Skinęła głową, nie wiedząc, dlaczego akurat teraz odpowiedź na to pytanie była tak ważna. Na niebie rozpełtała się burza. Za kilka minut zostaną całkiem przemoczeni.

- Już nigdy więcej. - Jego wzrok złagodniał, a usta zbliżyły się do jej ust, kiedy powoli wsuwał się w nią. - Teraz już wiesz, co to miłość.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nigdy jeszcze nie doświadczyła tak poruszającego uczucia.

Nie mogąc wytrzymać ani chwili dłużej, zaczął poruszać się miarowo. Uniosła biodra w niemym geście zaproszenia, oddając mu się bez reszty. Przyśpieszył, a jego ruchy stały się bardziej gwałtowne. Oplotła go nogami i przyciągnęła jeszcze głębiej, delektując się cudowną bliskością.

Ben przygryzł wargi. Wiedziała, że te same pierwotne instynkty, które wyciskały łzy z jej oczu, teraz zawładnęły jego ciałem. Chwyła go mocniej za szyję, wbijając paznokcie w kark.

Po chwili doświadczyła najsilniejszego i najbardziej magicznego spełnienia w swoim życiu. W tej samej chwili Ben odetchnął z niskim, chrypliwym pomrukiem i wbił się w nią aż do końca. Ich ciała drżały w niekontrolowanych konwulsjach. Napięcie mieszało się z uczuciem niewysłowionej ulgi.

Kiedy Bryony myślała, że najpiękniejsze chwile są już za nią, doznała kolejnej fali rozkoszy. Czowała, że każdy mięsień jest napięty aż do bólu. Spojrzała w błyszczące oczy Bena i zrozumiała, że jemu przytrafiło się to samo.

Zatrzymał się bez ruchu. Jego umięśnione ciało było napięte.

Burza szalała nad nimi, tworząc wokół koca tornado energii, która niemal uniosła ich nad ziemię.

Bryony przyłgnęła do Bena. Oddychali szybko i łapczywie, nie mogąc uwierzyć w to, co ich przed chwilą spotkało.

Przeżyli przebudzenie.

Razem.

Nie może być w życiu nic lepszego, pomyślała, kiedy koc ponownie opadł na ziemię.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Następnego ranka Vivi obudziła się i zobaczyła, że nad jej łóżkiem unosi się dzban pełen wody, a jej brat z bardzo skupioną miną stoi po drugiej stronie pokoju. W ułamku sekundy uzmysłowiła sobie, że nie potrafił przecież dotychczas robić takich sztuczek. Był to trik, którym, go straszyla, kiedy byli dziećmi.

Skinał głową i strużka wody polala się, ochlapując ją i całkowicie rozbudzając.

Zerwała się na równe nogi i nie próbując nawet wysuszyć się zaklęciem, podbiegła do brata i krzyknęła:

- Ben! Kiedy to się stało?

On zaś, by pokazać zakres swych umiejętności, osuszył ją jednym ruchem różdżki.

- Zeszłej nocy - odparł z dumą.

Przytuliła się do niego, a potem odtańczyła wokół pokoju taniec radości.

- Czy wiesz, co to oznacza? - spytała, kiedy już złapała oddech.

- Że rodzice mieli rację co do Sedony - odparł z uśmiechem.

- Nie. - Podeszła do szafki nocnej i chwyciła swoją różdżkę. - To oznacza, że wreszcie możesz się bronić. - Rzuciła zaklęcie, które skutecznie zablokował.

- Nie mam czasu, żeby teraz walczyć, Vivi. Muszę zadzwonić do mamy i taty i natychmiast odwołać ślub.

- Już to zrobiłam - przyznała, mając nadzieję, że Ben nie będzie się gniewał.

- Co takiego? - zdziwił się.

- Rozmawiałam z mamą wczoraj wieczorem. - Zawahała się. - Bałam się, że tego nie zrobisz.

Skrzywił się. Przetarł twarz dłońmi.

- Myślałaś, że będę się bał walczyć o moje szczęście? Że nie kocham siebie na tyle, żeby uwierzyć, że na nie zasługuję?

- Och... - Vivi zamrugła nerwowo. Zaskoczyło ją, że tak precyzyjnie odgadł jej myśli.

- I miałaś rację, siostrzyczko. Aż do zeszłej nocy nie wierzyłem, że należy mi się szczęście. Byłem dla wszystkich rozczarowaniem.

- Myślisz, że odzyskanie magicznych mocy sprawi, że staniesz się lepszym człowiekiem? - krzyknęła z oburzeniem. - Przecież to bzdura!

Wyjrzał za okno, żeby spojrzeć na dom Bryony.

- Wiem - odparł. - Musiałem to zrozumieć, zanim nastąpiło moje przebudzenie. W przeciwnym razie... - W przeciwnym razie nigdy by się to nie zdarzyło, dokończył w myślach. Vivi ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- Powiedziałeś jej, kim jesteś, prawda? - Gdy nie odpowiedział, tylko się zaczerwienił, krzyknęła: - Ben! Przecież ci mówiłam...

- Wiem, co mi mówiłaś, ale nie starczyło czasu.

- Domyślam się, że wolałaś inaczej go wykorzystać - odrzekła sarkastycznie. - Ben, zrujnujesz to, co najlepszego ci się w życiu przytrafiło, jeśli natychmiast tej sprawy nie rozwiążesz. - Uderzyła go w ramię. - Ślub jest odwołany. Jesteś wolny. Teraz leć oświadczyć się właściwej pannie Flynn, zanim ci ucieknie.

Przelotny uśmiech pojawił się na jego ustach. Uczucie szczęścia załało mu serce.

- Nie tylko ja doświadczyłem przebudzenia zeszłej nocy - zdradził.

- Niemożliwe! - krzyknęła uradowana.

- Możliwe! - Jego oczy błyszczały światłem, którego siostra nigdy u niego nie widziała. - Ona jest fantastyczna, Vivi. Jestem po uszy zakochany.

- Wiem, głuptasie. A teraz biegnij i jej to powiedz.

Ostatnią rzecz, jakiej spodziewała się Bryony, było wezwanie do biura Reginy.

Jednak skoro już tak się stało, wołała myśleć pozytywnie. Dzień zapowiadał się pięknie.

Miała powiedzieć przełożonej o odkryciu swoich mocy, a później doprowadzić do spalenia Richarda Psa na Baby.

Kolejnym powodem do radości był fakt, że Ben zdecydował się zostać dłużej w Sedonie. Stwierdził, że jest w stanie prowadzić swoje interesy na odległość równie dobrze jak z Nowego Jorku.

Ponadto miniona noc nie mogła skończyć się lepiej. Jednakże miała wrażenie, że Bena przepelnia dziwny niepokój.

Czyżby żałował ich zbliżenia? - zastanawiała się. Nie, instynkt podpowiadał jej, że to niemożliwe. Nurtowało ją zachowanie Bena. Nie naciskała jednak, aby wyjawiał jej prawdę. Kilka razy chciał powiedzieć jej o czymś ważnym, zawsze jednak przerywał i treść tego wyznania pozostawała dla niej tajemnicą.

Cieszyło ją tylko, że przeżyła najpiękniejszy seks, o jakim para może marzyć, jak również to, że oboje obudzili swe czarodziejskie zdolności. On stał się kluczem otwierającym jej drzwi, ona dla niego tym samym.

Ben był dla niej kimś wyjątkowo bliskim, nie tylko w aspekcie erotycznym. Był jej uzupełnieniem, bratnią duszą. I wiedziała, że jest kochana.

Serce drżało jej z radości i podniecenia, kiedy wchodziła do biura Reginy.

- Bryony - rzekła przełożona - Richard Hornby zatrzymał mnie wczorajszego wieczoru, kiedy wracałam z podróży, i podzielił się ze mną nowiną, która, jak mam nadzieję, jest tylko śmieszną plotką.

Humor Bryony gwałtownie się pogorszył.

- Regina... - zaczęła się tłumaczyć czując, że żołądek zaciska się jej w supeł.

- A więc to prawda? - Nie pozwoliła jej dokończyć. - Spotykasz się z jednym z uczniów?

- Ja... - jąkała się, nie potrafiąc i nie chcąc skłamać.

Oczy Reginy wpatrywały się w nią z rozczarowaniem.

- Szczerze mówiąc, Bryony, jestem zaskoczona twoim postępowaniem. Nigdy nie sądziłam, że złamiesz zasady panujące w Sedonie. - Wzruszyła ramionami. - No cóż, zawsze uważałam, że niespecjalnie troszczysz się o swoją siostrę. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że będziesz miała romans z jej narzeczoną.

Bryony poczuła, że ziemia gwałtownie osuwa jej się spod nóg.

- Co takiego?

- Benedict DeWin - dodała Regina. - To nie z nim się spotykasz?

- Ja...

Drzwi otworzyły się z hukiem i weszła panna Marion. Różowe pasma spoczywały w równych rzędach na jej głowie, opadając aż do pasa. Dyszała ciężko.

- Ona o niczym nie wie, Regino - wysapała. - Czar Anonimowości.

Benedict DeWin... Czar Anonimowości... Bryony próbowała poskładać to sobie. I nagle do niej dotarło.

- Panno Marion, pani wiedziała? - spytała łamiącym się głosem.

- To nie tak, jak myślisz, skarbie - próbowała tłumaczyć.

- I pozwoliłaś mi na to? - Rozpacz i oburzenie wypełniały jej serce. Nie mogła zrozumieć, że przyjaciółka i opiekunka tak ją oszukała.

- Ty nic nie rozumiesz. Vivi i ja... myślałyśmy, że...

Czyli Vivi też jest w to zamieszana, załamała się. Usta wykrzywiły jej się w szloch rozpacz i wstydu. Czyli choroba profesora Hugginsa też była udawana. Wszystko po to, żeby mogły zabawić się w swatki. Panna Marion wiedziała, że Bryony ma romantyczne serce i bardzo zależało jej na szczęściu podopiecznej.

Vivi z kolei kochała swojego brata i zapewne nie chciała, żeby poślubił Portię. Podobnie jak ona, Vivi także wiedziała, że Benedict nie byłby z jej siostrą szczęśliwy.

Ale czy on też bawił się jej uczuciami? Przecież wiedział cały czas, kim była, a sam ukrywał się pod Czarem Anonimowości...

Zaśmiała się nerwowo. Teraz już wiedziała, dlaczego jego twarz wydawała jej się znajoma. Nic dziwnego, że tak łatwo się w nim zakochała. Kochała się w nim już od wielu lat.

Była w stanie zrozumieć motywy panny Marion i Vivi, ale zachowanie Benedicta nadal ją zastanawiało. Wściekła i zraniona wstała z krzesła i wyszła z gabinetu.

Może on tym razem pomoże jej w rozwiązaniu tej zagadki.

Benedict podskoczył, kiedy drzwi jego domku otworzyły się gwałtownie.

- Ty cholerny łajdaku! - Głos Bryony drżał od złości i emocji.

Vivi spojrzała na nią, a potem na brata, i uśmiechnęła się.

- Mówiłam ci, że będzie wkurzona.

- Przymknij się, Vivi - warknęła. - Twoim zachowaniem też nie jestem zachwycona.

Vivi uśmiechnęła się i zadowolona z siebie rozsiadła się w fotelu, trzymając w ręku miskę z popcornem.

- Wiedziałam, że z nią tak łatwo nie pójdzie.

- Może łaskawie mi powiesz, kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, kim jesteś, panie DeWin? - zwróciła się do Bena. - Kiedy już stałbyś przed ołtarzem z moją siostrą? A może w ogóle nie poinformowałeś mnie o ślubie?

- Kto ci powiedział? - odwrócił pytanie.

- Regina. Richard na nas doniósł. Zostałam wezwana dziś do jej biura. Jak nie zostanę wyrzucona. Regina była przekonana, że świadomie nawiązałam romans z narzeczoną własnej siostry. To nie było zabawne, zapewniam cię - syknęła.



Benedict przez chwilę nie mógł wydobyć głosu, wreszcie oznajmił:

- Nie ożenię się z twoją siostrą, Bryony.

Miał wrażenie, że na jej wykrzywionej gniewem twarzy pojawiło się uczucie ulgi. Złość nadal jednak była silniejsza.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło w tym tygodniu... I to, że wyznałeś mi miłość... - Głos jej się załamał.

- Bryony... - Czuł się jak łajdak, którym go nazwała.

- Wydaje mi się, że miałam prawo wiedzieć, nie sądzisz? - przerwała mu. - Teraz potrzebuję twojej pomocy, żebyś mi to wyjaśnił. - Oczywiście nawiązanie do ich zbliżenia i odkrywania magicznych umiejętności brzmiało wyjątkowo sarkastycznie w jej ustach.

- Miałem zamiar ci powiedzieć zeszłej nocy - odparł, unikając jej spojrzenia.

- I miało to być przed czy po seksie?!

- Cholera jasna... Po prostu nie potrafiłem tego zrobić. Zbyt długo trzymałem to w tajemnicy i nie mogłem znaleźć odpowiedniej chwili, żeby wszystko ci wyznać. Jak miałem to zrobić? Nagle odwrócić się i stwierdzić: „Och, a tak przy okazji, jestem zaręczony z twoją siostrą? Musiałem powiedzieć rodzicom, że zrywam zaręczyny... - Machnął ręką. - Przepraszam, Bryony. Nie wiem, co mam powiedzieć. Zawaliłem na całej linii.

- Przyznaj się jej, że jesteś totalnym idiotą - podpowiedziała mu siostra. - To miłość cię zaślepiła i ogłupiła.

- Czy ty się kiedyś zamkniesz? - Bryony, gdyby mogła, zabiłaby Vivi wzrokiem.

- Obawiam się, że nie. Taki już mój urok. - Z uśmiechem sięgnęła po kolejną porcję popcornu. - Ale słyszałaś, co powiedział. Nie żeni się z twoją siostrą. Chciałby ożenić się z tobą.

- Do jasnej cholery, Vivi, potrafię sam się oświadczyć! - wrzasnął Ben. - Wyjdź stąd! Natychmiast!

- O matko - mruknęła, wstając z krzesła i odstawiając miskę na bok. -

Wreszcie odzyskałeś swoje moce i zachowujesz się jak egocentryk.

- Vivi - ostrzegł ją kolejny raz.

Czekał, aż siostra wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą drzwi. Po chwili zrobił mały krok do przodu.

- Przepraszam. - Próbował spojrzeć Bryony w oczy. - Zachowałem się jak idiota. - Podszedł jeszcze bliżej. - Ja cię... ja cię kocham.

Kąciaki jej ust zadrżały w uśmiechu.

- Naprawdę zerwałeś zaręczyny?

- Moi rodzice już przekazali te wieści twojej rodzinie.

- Wiesz, że będą mnie o to oskarżać?

- A ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

- Nie.

Pogładził dłonią jej policzek.

- Myślę, że to dla nich dobra nauczka po tym, jak cię traktowali.

- Też tak uważam.

- Czy chcesz zaprosić ich na nasz ślub?

Westchnienie ulgi wypłynęło z jej piersi. Do oczu napłynęły łzy.

- To my bierzemy ślub?

- Jeśli się zgodzisz. - Pocałował jej powieki, uwalniając łzę, która potoczyła się po policzku.

- Czy zostaniesz moją żoną, Bryony Flynn? - spytał głosem drżącym z emocji.

Zaśmiała się, otoczyła jego szyję ramionami.

- Może dam się przekonać. Z odrobiną twojej pomocy - dodała po chwili.

Gdy wypowiedział zakłęcie, żaluzje opadły i pokój pograżył się w ciemnościach. Nagle zapaliły się świece, a muzyka zaczęła się cicho sączyć z magnetofonu.

- O tak, chętnie ci pomogę. - Przypieczętował swą obietnicę namiętym pocałunkiem.



RS